

Dlaczego ładny Chasmops jest nieszczęsny

czyli

Historia oszpeceń

przez nizinnego paleożółtodzioba w kilku częściach spisana.

Mojej bylej

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Klątwa Calymene

Człowiek, który pojął Wielką Tajemnicę Miejsca Pobytu Wapiennych Narzutniaków, doznaje prawdziwego przeistoczenia – zamienia się w istotę, którą mogą zrozumieć jedynie ekstremistyczni numizmatycy i ortodoksyjni filateliści. I ja takowym się stałem. Na początku polega to na tym, że gdy tylko się nad czymś zadumasz, zamyślisz, gdziekolwiek byś nie był: w sklepie, w tramwaju, to po ocknięciu się ze zdumieniem odkrywasz, że siedzisz okrakiem na kamiennej hałdzie.

Niestety, im większy zapal eksploracyjny, tym szybciej zaczyna brakować hałdek. W moim przypadku okoliczne kopczyki wyczerpały się po kilku miesiącach zapalczywej, namiętnej eksploracji. Jako zielony paleożółtodziób, zbierałem oczywiście tylko te kamyki, które zawierały pięknie zerodowane skamieniałości, widoczne na naturalnej powierzchni kamieni.

Wyglądało na to, że żeby strumień nowych okazów nie urwał się, należy zmienić metodę. Postanowiłem więc wydobywać okazy z wnętrza mniej ciekawych kamieni. Okazało się, że najłatwiejsza metoda – rozłupywanie ich przecinakiem i młotkiem – jest niezbyt owocna. Nawet jeśli skamieniałość nie pęknie na wskroś, to pancierz zwykle ląduje na jednym fragmencie kamienia, a naga ośródką, poobtrącana z wszelkich „wypustek” – na drugim fragmencie. Pewnikiem wynika to z mechaniki skorup sztywnych. Szybko zrozumiałem, że należy zmienić metodę.

Niestety, ostatnia metoda, jaka pozostała, to powolne i mozolne odsłanianie okazów, poprzez odkuwanie maleńkich cząstek matriksu. Procedura, szczególnie w wersji stricte amatorskiej, trwa *wiele* godzin, podczas których jeden błąd może zrujnować cały wcześniejszy wysiłek. Ale nie widziałem innych możliwości.

Zeszlifowałem czubek trójkątnego pilnika, nadając mu fason ślusarskiego skrobaka, wzięłem mały młotek i zacząłem kuć. Po zdewastowaniu dwóch przeciętnej urody skamieniałości postanowiłem, że może lepiej pojechać na hałdę, to przynajmniej nie popsuje następnych okazów.

Na rzeczonych hałdzie, nie znalazłem niczego poza tymi samymi wapniakami, które ostatnio na niej pozostawiłem, uznając je za bezwartościowe. Był wśród nich beznadziejnie jałowy wapniaczek wielkości pięści, który na powierzchni posiadał jedynie pojedynczą kreskę

jakiegoś przekroju. Niezbyt skomplikowanego przekroju. Pospolite przekroje cefalonu trylobita *Calymene*, na przykład, często wyglądają jak szalone wygibasy, których nie wymyśliłby Picasso. W porównaniu z nimi, owa kreska przekroju wyglądała naprawdę niezachęcająco. Mógł to być zwyczajny maź lub jakiś gładki ramienionóg, powyginany przez skalny nacisk.

Pomyślałem więc: duży okaz o prostym kształcie, jałowy jednorodny matriks, raczej twarde, ale nie ekstremalnie. Idealny okaz do trenowania się w sztuce preparacji. Tym razem więc kamyk trafił do plecaka.

Wieczorem zacząłem kuć. Nauczony poprzednimi niepowodzeniami, starałem się nieco mądrzej ustawiać swój diabelski rylec, i już po kwadransie stwierdziłem, że faktura tej skorupki ma jakieś drobne guziołki, sugerujące trylobita. Zwiększyło to mój zapał i sprawiło, że zacząłem kuć nieco bardziej łapczywie. Po pół godzinie ustaliłem, że chyba odsłaniam trylobicią glabellę. Zanosilo się na długą noc.

Niestety, w owym czasie dysponowałem już nietuzinkową wiedzą paleontologiczną, na którą składały się następujące oczywistości:

1. Jedyne trylobity występujące w polskich narzutniakach to *Calymene*. Ta wiedza była poparta „solidną” własną obserwacją: w owym czasie byłem szczęśliwym posiadaczem chyba już z siedmiu okazów trylobitów, i wszystkie one (pygidia, cefalony i szalone przekroje) należały do *Calymene*. Powoli zaczynałem więc wierzyć, że inne trylobity znaleźć można wyłącznie w rdzeniach głębokich odwiertów, które przebiły jakieś trylobitonośne złoża. Zresztą – myślałem – duże okazy *Calymene* mają właśnie takie guziołki na pancerzu.

2. Trylobity w polskich narzutniakach występują wyłącznie w postaci oddzielnych pygidów lub cefalonów (o ile nie są w totalnej rozsypce). Znalezienie tych części w przyżyciowo-należytym towarzystwie tergity, czyli segmentów tułowia, jest po prostu niemożliwe.

3. Nic bardziej ciekawego od *Calymene* (pod względem kształtu i wielkości) nie można znaleźć w polskich narzutniakach.

4. Kolce policzkowe trylobitów w bałtyckich narzutniakach, tudzież dowolne ich kolce, obowiązkowo są odłamane.

5. *Calymene* występuje zawsze bez oczu, które jakoś nie chcą się zachowywać. Jest to tryl z wylupionymi oczami.

Pozostałe cztery punkty również zdawały się nieźle potwierdzone własną obserwacją.

Ostatni punkt – oczekiwany brak oczu – usypiał czujność i nieco obniżał dyscyplinę odkuwczą.

Okazało się, że przy odpowiednim ustawieniu rylca odkuwanie *wypukłości* jest łatwe – szansa „wjechania” w okaz jest nikła, a przy odpowiedniej sile i kierunku uderzeń, i przy szczęśliwie korzystnych własnościach okazu, odłamki same odpadają na granicy nieciągłości skorupa-matriks. Po następnej godzinie kucia ujrzałem więc spory kawałek *przecudnej* glabelli - nie tkniętej ni skrzydłem anioła i tak świeżej, jakby wykluła się wczoraj.

Emocje i łapczywość preparatora-dziewicy rosły z każdą minutą.

Glabella *Calymene* zwęża się w kierunku przednim, a po bokach ma wydatne krągławe wybrzuszenia (loby), które nadają jej bardzo charakterystyczny wygląd.

Po godzinie czy dwóch właśnie po tej stronie glabelli, która zdawała się zwężać, faktycznie odsłoniło się jakieś wybrzuszenie. Z kierunku zwężania wywnioskowałem, że przód cefalonu znajduje się w głębi kamienia, a tylna część z pierścieniem potylicznym, i zapewne oczami, została oderwana od okazu przez siły natury. Rozpoznawszy sytuację kułem wesoło w kierunku domniemanego przodu, spodziewając się w końcu dotrzeć do wydatnego, mocnego gzymsu, który okala cefalon *Calymene* od przodu. Coś długo to trwało.

W połowie glabelli, do jej górnej części skośnie przylegała limonitowa (a przynajmniej rdzawa) konkrecja, która była miękka. Poprawiło mi to humor i jeszcze bardziej zwiększyło wigor wydobywczy. Odłamki wesoło pryskały dookoła lądując na głośno chrapiącej współlokatorce, śpiącej metr od stołu, na którym prowadziłem swoją trochę hałaśliwą ekskawację.

Niestety, limonit ledwo się pojawił, a już zniknął, i na powrót zanurzyłem się w wapieniu. Praca znacznie spowolniła, ponieważ w miarę zagłębiania się trzeba usuwać coraz więcej jałowego materiału, o ile nie odcina się go brzeszczotem lub tarczą tnącą.

Coś jednak nie chciało się zgadzać. Te krągławe płyty jakieś takie mniej krągławe niż u *Calymene* a na głównej wypukłości glabelli dziwne owalne znamię, którego nijak wypatrywać u tejże. Kuję i kuję, nocka leci, a gzysmu jak nie widać tak nie widać....

Na dodatek, na pewnym etapie na odkuwanej powierzchni pojawiła się cienka jak włos, i blada jak blond włos, koronkowa filigranowa linia- Duch, którą początkowo uznałem sam nie wiem za co – może zanieczyszczenie jakieś, albo za zwierzaka innego niż trylobit. Któż to może wiedzieć, jakież to stwory czają się w naszych narzutniakach...

W każdym bądź razie charakter tej eterycznej linii był zupełnie inny niż oczywistego trylobitowego pancerza – więc pierwsza myśl jaka mi przeszła przez głowę to to, że jest to przekrój przez jakiś inny obiekt. Kułem więc dalej, aż w końcu napór faktów wtłoczył rozum do mojej głowy:

1. dziwne znamię na dużym płacie glabelli;
2. krągławe wybrzuszenia „cosik nie takie jak trzeba”;
3. przedni gzysm nie chce się pojawić;
4. przy trylobicie płacze się eteryczna jak zjawia linia jakiegoś przekroju.

Przypadek?

Gdy zbliżał się ranek, na wpół przytomny zdałem sobie sprawę, że może jednak nie wszystkie polskie trylobity w narzutniakach to *Calymene*. Odpaliłem fossiilid i z zapartym tchem wertowałem koszmarnie dużą liczbę obrazów tryli, nie mając pojęcia w jakim szukać rzedzie, w jakiej rodzinie, że o rodzaju nie wspomnę. W końcu jednak znalazłem go: rząd Phacopida, podrząd Phacopina, nadrodzina: Phacopoidea, rodzina: Pterygometopidae, rodzaj: *Chasmops*.

Bardzo charakterystyczna glabella, w kształcie buta-trepa z filmu-kreskówki, dziwaczne znamię, i – uwaga! – *piękne, wyniesione wysoko ponad grzbiet schizochroalne oczy*.

To był naprawdę brutalny cios.

U *Calymene* – glabella zwęza się ku przodowi. U *Chasmops* – ku tyłowi. To znaczy, że przód jest tyłem! W takim razie gdzie ja właściwie kuję? W którym miejscu się znajduję?

To było straszne. Poczułem jakbym spadał z dziesiątego piętra i cały mój „paleontologiczny” żywot stanął mi przed oczami.¹

Cóż, okazało się, że mój rylec tkwi właśnie w jedynym niezniszczonym przez siły natury oku tego trylobita. Udało mi się już rozbić w perzynę dwie trzecie objętości tego oka. Magiczna linia-zjawia to przekrój przez zewnętrzną powierzchnię oka, utworzoną przez rozdzielone sklerą fasetki. Przedni gzysm się nie ujawnił, bo go szukałem na potylicy. Owalne znamię z kolei to właściwy przód zwierzaka. Nie wiem czym jest to znamię. U pokrewnych trylobitów Dalmanitoidea „Sam Gon the 3rd” wspomina jakieś „median glabellar muscle scars” co by oznaczało „blizny mięśniowe w pobliżu środkowej płaszczyzny symetrii glabelli”.

¹Aby lepiej oddać stan owego załamania psychicznego, w drugiej części tej opowieści opisuję co dokładnie stanęło mi wówczas przed oczami.

Mniejsza o to. Przy śpiewie ptaków i świetle poranka padłem jak trup, pokonany przez własną ignorancję w temacie trylobiciej anatomii.

Następnego dnia w pracy czas dłużył się w nieskończoność. Wieczorem, będąc pewnym, że mnie już nic nie zaskoczy, kontynuowałem dziabanie. Niestety, nie był to koniec przykrych niespodzianek.

Po pierwsze, okazało się, że pierścień potyliczny *Chasmops* wystaje niczym wielbłądzi garb. Nie spodziewałem się tego i bardzo brzydko go napunktowałem tworząc obłe białe ślady na brązowym tle pancerza. Natychmiast, niczym dzinn, stanął mi przed oczami pewien zaradny monter kablówki, który porysował świeżo położoną drewnopodobną podłogę zbyt leniwym „przestawianiem” szafek. Powiedział: „nasmaruj pan tę rysę olejem jadalnym i będzie cycuś-glancuś”. Na trylobicie jeszcze tego nie próbowałem...

Po drugie, okazało się, że odkuwanie matriksu z wnek jest o wiele trudniejsze niż z wybrzuszeń, głównie dlatego, że nie ma swobody wyboru kąta natarcia rylca. Rylec uderzony zbyt słabo pozostawi trudną do usunięcia cienką warstwę. Rylec uderzony zbyt mocno wpada prostopadle w pancerz pozostawiając brzydki biały ślad. Nie uniknąłem wielokrotnego przetestowania tego zagadnienia w praktyce, co przysporzyło licznych dodatkowych punktów na pancerzu.

Ale były też dobre wieści: pierwszy raz w życiu zobaczyłem na własne oczy wyraźne szwy policzkowe, i, w miarę kowania, coraz bardziej wyglądało na to, że w okazy zachowały się nie odłamane kolce policzkowe! Po raz kolejny przychodziło zrewidować swoje paleopoglądy...

Następnego dnia w pracy czas dłużył się w nieskończoność. Wieczorem, będąc pewnym, że mnie już nic nie zaskoczy, kontynuowałem dziabanie. Niestety, nie był to koniec przykrych niespodzianek.

Odsłanianie kalców, które ciągnęły się w nieskończoność w głąb kamienia, wymagało usunięcia sporej ilości materiału z tyłu okazu. Z tyłu cefalonu postukiwałem sobie jak dusza zapagnie, bom niczego nie spodziewałem się tam zastać. A tu – niespodzianka: pukasz sobie ośle, pukasz, a przecie w tergity pukasz baranie, znowuż punktując je srodze nieestetycznie. Zdaje się, niestety, że żeby dostrzec jakąkolwiek nieoczekiwaną strukturę podczas ekskawacji, trzeba się z nią najpierw zderzyć. A to oznacza zdemolować, lub w najlepszym razie oszpecić. Trzy tergity przetrwały w pozycji przyżyciowej, być może dzięki temu, że ochroniły je mocne kolce policzkowe. Kolejny paleodogmat zielonego paleożółtodzioba (nieodwoławalny brak tergitów) legł w gruzach.

Podczas całej procedury na pancerzu pojawiło się też sporo pęknięć, szczególnie na kalcach policzkowych. Odnosiłem wrażenie, że pancerz pęka nie od uderzeń, ale „sam”, wskutek wielokrotnego cyklu namaczania i wysuszania okazu (spłukiwałem wodą zasłaniającą wszystko okrucy, a wysychał szybko bo oświetlałem sobie pole działania lampką z gorącą żarówką).

W oszpecaniu skamieniałości osiągnąłem więc pewne rezultaty: po trzech nocach ekskawacji pełnej przykrych i wesołych niespodzianek, obrzydliwie napunktowałem prawie każdą część tego *nieszczęsnego* trylobita i wykułem mu jedyne oko, które mu się ostało. Gdybym wiedział co jest w środku, wysłałbym go do preparatorni. Lub odłożył na lepsze czasy. Czysty przypadek sprawił, że taki ładny okaz, chyba nie aż tak często znajdowany w naszych narzutniakach (?) stał się poligonem doświadczalnym raczkującego „preparatora”.

Śniąc o paleontologii

a właściwie

Paleomarzenia nizinnego uczniaka

czyli

Co staje przed oczami człowiekowi, który właśnie wykuł komuś oko schizochroalne

Oj trudno było drzewiej być miłośnikiem paleontologii: dzieciak stał pod koniecznie szaro zachmurzonym, PRL-owskim niebem, spoglądając na czarno-białe zdjęcie w „Świecie Młodych”, wzdychając: „Ach jakże wspaniale byłoby zostać paleontologiem!”. Zdjęcie przedstawiało polskie paleontolożki, wydobywające Stwory Niestworzone na egzotycznej pustyni Gobi.

Niestety, tajemnicze „Góry Świętokrzyskie” zwykły leżeć gdzieś hen na dalekim południu kraju, daleko poza zasięgiem roweru, a egzotyczne pustynie - przemilczę.

Dochodziły czasem uszu – przyznaję – jakieś „wapienne narzutniaki”, jednak nikt z nas – wiejskich chłopaków-uczniaków – ich nigdy i nigdzie nie widział.

Zdarzył się raz, co prawda, pewien przypadek, który powinien nam dać do myślenia. Miało to miejsce po nielegalnej kąpieli w „polodowcowym”² jeziorze, zakazanej nie tylko przez mamę. Do jeziora wpadał strumyk, pełen ryb nieprzytomnych z miłości - łatwy łup pozbawionej skrupułów dzieciarni. Jeden kamyk w strumyku wyglądał dziwnie - spod cienkiej skorupy wystawały jakby jakieś prążki. Kamyk trafił do kieszeni, a z kieszeni wprost na podwórkowy pień, na którym życie zwykły tracić kolejne pokolenia kur. Pacnięcie na odlew młotkiem odsłoniło coś, co dla najbardziej nawet nieregularnego czytelnika „Szkielka i oka” wyglądało na „tyłek” (!) trylobita!

Każde nowe odkrycie wymaga konsultacji naukowych. Czy powinienem donieść o swoim odkryciu paleontologom z jakiegoś instytutu? Telefonu w domu nie było, ale może to i lepiej, bo jak niby miałbym przez zwykły telefon przekazać obraz swojego niezwykłego znaleziska?

Był środek wakacji i szkoła daleko. Pozostawała konsultacja z kolegami. W końcu Prawdziwi Naukowcy też wszystko konsultują z kolegami po fachu. Podwórkowi koledzy mieli jednak więcej trzeźwego sceptycyzmu ode mnie, a o wiele więcej pewności siebie, bo ich argumenty szły z grubsza po linii: „nawet głupek wie, że trylobita można spotkać tylko w muzeum”.

Kamyk trafił więc do zakurzonego kąta, a paleontologia na daleki plan.

Ale nie na długo. Mama kolegi – nauczycielka – była Zupełnie Niezwykłą Osobą: na półce w jej mieszkaniu stała (kupiona spod lady?) książka „Zanim pojawił się człowiek”, ilustrowana przez czeskiego artystę-malarza Zdenka Buriana. Dane mi było ją kilka razy przekartkować własnymi rękami! W środku był jakiś niezbyt zrozumiały tekst i klasycznie namalowane, kolorowe(!) sceny z historii życia na Ziemi. W czasach głównie czarno-białego druku, gdy komiks pojawiał się w kiosku raz na ruski rok, ta księga była jak oglądanie filmu 19D w sali kinowej na powierzchni Księżyca. Wertując jej karty, poczułem się jak wtedy, gdy jako bezbronny pachole po raz pierwszy dowiadywał się o plagach egipskich,

²(rynnowym)

rozstępowaniu się Morza Czerwonego i Jonaszu w brzuchu wielkiej ryby. Ale tym razem, i to jest naprawdę niesamowite, historia była prawdziwa!

Życie toczyło się szaro, tzn. iście bezpaleontologicznie, aż któregoś dnia gruchnęło: w pewnej szkole odbędzie się wycieczka typu „obóz wędrowny” w wielkie góry, które się nazywają „dolinki podkrakowskie”, i ty, synalku, pomimo, że nie chodzisz do tamtej szkoły weźmiesz w tej wycieczce udział „na przyczepkę”. Krótki *research* w Małej Encyklopedii Powszechnej PWN wykazał, że w górach owych nie da się nie wejść w kontakt z „wapieniem organogenicznym”, a co to są „organy”, to już każdy z nas, szczeniaków, dobrze wiedział. Pewnikiem, musi się w nich ROIĆ od skamieniałości. Kilka nieprzespanych nocy poprzedzających wyjazd – no i jestem. Ale tu rozczarowanie – nakaz ścisłego poruszania się z grupą ograniczył dostęp wyłącznie do tej skały, którą miałem bezpośrednio pod stopami, tzn. skały na wydeptanym szlaku. W ten sposób odkryłem, że rzeczone góry są faktycznie zbudowane z wapienia, ale *wapienia turystycznego* – o fakturze glazurowanego talerza do zupy, jednego z tych, które stoją w naszych kuchennych szafkach. Gdy kropiło, można było wybić zęby. Skamieniałości brak, przynajmniej na razie.

Gdy tak maszerowaliśmy dnem jakiejś doliny, nad głowami wisiały nam z pozoru dzikie ogrody, pełne chaszczki przeplatanych skałkami, do których się rwało serce. Ech, myślałem, gdyby się tak udało urwać z grupy i samemu przeczaszać te zarośla, może udałoby się znaleźć jakąś skamieniałość. Nigdy bym nie przypuścił, że przynajmniej owo „urwanie się” ziści się samo w najmniej oczekiwanym momencie.

Gdy w USA autobus miejski zatrzymuje się na przystanku, a osoba wysiadająca podnosi się z miejsca dopiero po zatrzymaniu, kierowca zwykle wesoło pokrzykuje: „Take your time!” (Nie ma pośpiechu!). W PRL-owskich autobusach, a i w pociągach, czasami wyglądało to trochę inaczej: kto nie zdąży, tego strata – wysiądzie sobie na następnym przystanku. Otóż n-tego dnia owej obozowej wyprawy, przemieszczając się lokalnym pociągiem ze wsi do wsi, wysiadałem z pociągu jako ostatni. Nie wiem jak udało mi się wysiadać po paniach opiekunkach, ale nie byłem jedyną gapą, bo koleżanka z grupy wysiadająca przede mną została pochwycona za plecak przez automatycznie zasuwane drzwi. Gdybym jej nie wypchnął na peron, odbyłaby dalszą podróż na zewnątrz pociągu, wisząc w ramiączkach plecaka. Wszak każde dziecko wie, a byłem wtedy małym dzieckiem, że hamulca awaryjnego nie wolno używać. Ona wypadła, a ja, mały gówniarz, pojechałem samotnie w siną dal...

Co było dalej? Dość powiedzieć, że zdarzenie to odbiło się negatywnie na paleontologicznych aspektach reszty wyprawy. Do domu wróciłem przekonany, że nie tylko na nizinach nie ma skamieniałości, ale nie ma ich i w górach.

Szkoła średnia w PRL to nie były przelewki: nie sposób było nie otrzeć się o geologię. Na szczęście nasza Pani-Od-Geografii była inteligentną osobą i traktowała nas jak bandę przygłupów, którymi, niestety, w znacznym stopniu byliśmy. Dostosowała program do naszego poziomu, dzięki czemu do dzisiaj dźwięczą mi w uszach niektóre geofakty: „Różne straszności wypływają z wulkanu” (początek lekcji o zjawiskach wulkanicznych), „Gdy idziemy po plaży, i mamy czyste stopy, to ten piasek nam tak – (tu pauza wzmagająca napięcie) – chwarrrrszczy” (to na temat formowania brzegu morskiego), „Krzysiek, oni się tak z ciebie śmieją, bo ty takie głupie miny robisz tym kamyczkom” (komentarz na szyderczy śmiech klasy wywołany tym, że Krzysiek ma zidentyfikować próbki skał w gablotce).

Wszyscy byliśmy i ciągle jesteśmy wdzięczni naszej Pani-Od-Geografii za taki styl nauczania, bo tylko dzięki temu jakoś dawaliśmy sobie radę z językiem polskim, matematyką, i z otrzymaniem promocji do następnej klasy.

Chociaż... czasami nachodzi mnie żal, że nasza Pani-Od-Geografii nie wyjawiała nam Wielkiej Tajemnicy Miejsca Pobytu Wapiennych Narzutniaków. *A może mówiła, tylko nie słuchaliśmy?*

Acha – tamten strumień – zdarzyło się nad nim coś jeszcze. Wracalem do niego wielokrotnie, jeszcze w podstawówce. Jednym razem była to długa przejażdżka rowerowa z Dziewczyną, Która Mi Się Podobała. Owady brzęczały, chwasty pachniały. Byliśmy za młodzi (a może zbyt nieśmiali?) by smakować miłość, a poza tym strumyk – też mi się podobał. W niektórych jego miejscach, na dnie zgromadziły się małe ławice drobnych kamyczków o różnych kolorach i kształtach. Nie większe od paznokcia małego palca, taki żwirek. Zacerpnałem je w otwartą dłoń. Duch Amora musiał jednak krążyć wokoło, bo wśród kamyczków tkwiło maleńkie, pękate, pręgowane serce. Drobna skamieniała muszla?

Nie tylko na geografii można było otrzeć się o historię ziemskiego życia. Na zawsze pozostanie w mej pamięci wyrozumiały, profesjonalnie wstrzymany uśmiech naszej Pani-Od-Historii, która, odpytując jednego z nas z dziewiętnastowiecznych osiągnięć nauki i techniki, usłyszała, że „Darwin sformułował drzewo *geologiczne* organizmów żywych”.

Pozostawała jeszcze ostatnia nadzieja na rendez-vous z paleontologią – biologia. W końcu nie bez powodu Theodosius Dobzhansky napisał, że „nic w biologii nie ma sensu, jeśli jest rozpatrywane w oderwaniu od ewolucji”.

Najstraszniejsza dla miłośnika-hobbysty, a katastrofalna dla naukowca, jest izolacja. Ja miałem wielkie szczęście – w szkole średniej przestałem być sam. Do mojej klasy trafiła osoba wrażliwa na dziwy Przyrody, z którą zawsze można było się dzielić zachwytem nad dziełami Natury. Kolega ten, z pozoru małomówny mruczek, docierał do szkoły, czyli do naszego małomiasteczkowego centrum nauki i kultury, z Naprawdę Wielkiego Zadupia – wlokąc się przez godzinę pociągiem poruszającym się w tempie piechura. Trasa tego pociągu, który oczywiście już nie kursuje, wiodła przez malownicze bory i pola, i poprzez kolejowe stacje leżące tam, gdzie najmniejsze wsie wpadają w objęcia lasom. Był to prawdziwy człowiek lasu, uważny obserwator wszelkiego życia i zapalony hodowca wszelkich oblesnych niewielkich stworzeń. Była w nim, jak na młodzika, jeszcze jedna rzecz niezwykła: kpił, szalał, kochał tak jak my, ale gdy przychodziło do zagadnień przyrodniczych, a i do zagadnień innych, potrafił myśleć racjonalnie, co u wielu z nas, ogarniętych młodzieńczym stanem umysłu, występowało raczej sporadycznie i wymagało znacznego wysiłku.

Mając takiego kolegę – pasjonata biologii, i będąc sympatykiem dinozaurów, można się już było śmiało zapisywać na kółko biologiczne, co obydwaj niezwłocznie uczyniliśmy.

Niestety, kółko odbywało się o dziwnej przedwieczorowej porze, o godzinie w ogóle nieskonsultowanej z Zarządem Państwowego Przedsiębiorstwa Komunikacji Samochodowej. Ode mnie do szkoły nie było daleko – jakieś 5 km – więc dla zaoszczędzenia czasu zdarzało się nam dojeżdżać rowerem. Znaczący się jednym rowerem, ponieważ kolega po zajęciach kółka wracał wprost do siebie. Co gorsza była to damka marki Turing II, pozbawiona bagażnika.

Jak powszechnie wiadomo, w przypadku takiego wyposażenia i takiej ilości pasażerów, istnieją dwie zasadnicze metody średniodystansowego przemieszczania się.³ Każda o dłu-

³Jak również powszechnie wiadomo, na krótszych dystansach pasażer może również siedzieć na kierownicy.

giej tradycji. Pierwsza – metoda klasyczna – chętnie stosowana przez nasze matki, ojców, babcie, dziadków (etc., aż do czasów wynalezienia roweru) polega na tym, że obydwie osoby startują równocześnie, ale jedna osoba rowerem, a druga pieszo. Po przejechaniu krótkiego odcinka, rowerzysta zatrzymuje się, zostawia rower na poboczu i kontynuuje pieszo. Druga osoba dochodzi do roweru, na rowerze dogania (lub przegania) pieszego, zostawia rower na poboczu, i kontynuuje pieszo. Pierwsza osoba dociera do roweru i proces się powtarza, aż do osiągnięcia wymarzonego celu – sali kółka biologicznego. W ten sposób każda z osób przebywa pieszo tylko połowę drogi, co znacznie skraca czas „podróży”.⁴

Druga metoda to jednoczesna jazda razem: jeden na stojąco na pedałach, drugi na siedzeniu. Jest trochę akrobatyczna dla pasażera i mocno atletyczna dla pedałowującego, ale pomaga jeszcze bardziej skrócić czas. Dlatego zazwyczaj stosowaliśmy drugą metodę. Jako chudy i leniwy cherlak beczelnie cedowałem większość pedałowania na kolegę. Acha – ważny szczegół – ta metoda jest sporym obciążeniem dla konstrukcji roweru.

Tu trzeba przyznać, że Pani-Od-Biologii nie uznawała prymatu polonistek i matematyczek, i prowadziła zajęcia na całkiem przyzwoitym poziomie. I to było straszne. Okazało się, że w elementarnym komponencie ziemskiego życia – komórce – kipi, mrowi się i kotłuje, niczym w ekosystemie bebeczków gnijącego na torowisku dzika (*Sus scrofa*). A przecież każdy, kto widział gnijące w środku lata bebeczki dzika (*Sus scrofa*, Linnaeus 1758), zgodzi się ze mną, że maszyneria komórki jest zawiła. Na dodatek, graczami w tej kotłowaniu są złożone cząsteczki chemiczne. Cząsteczki straszne niczym plastry szerszenich gniazd, do których zresztą są podobne swoimi „węglowymi pierścieniami”. Co gorsza, skutek rozwojowej decyzji naszej Pani-Od-Biologii, głównym tematem kółka biologicznego było cyzelowanie najtrudniejszych fragmentów kursu biologii. A zawsze były to jakieś okropne tańce chemicznych związków. Ewolucji – nie wspominając nawet o skamieniałościach – ni widu, ni słyhu. Zamiast jurajskich krabów – cykl Krebsa, zamiast osadów dna – budowa DNA, zamiast Phacopina – eS - Adeno - zylo - metio - cholera, nie pamiętam - nina. Chemia nie była moją *najmocniejszą* stroną. Zaczynało wyglądać na to, że aby wejść w intymny związek z panną paleontologią, należy wykazać większe zaangażowanie, niż to, na jakie mnie było stać.

Na moim koleźce, S - Adeno - ram-pam-tam-pam - zyna (czy może – nina?) nie robiła zbyt wielkiego wrażenia, ale to właśnie on ułatwił mi rozstanie z Wielką i Niesamowitą Biologią – i to na dwa sposoby, z których pierwszy był taki:

Któregoś dnia chyliło się już ku zmierzchowi, gdy podążaliśmy naszą rowerową rykszą na następne kółko biologiczne. Wtem, mój z mozołem pedałowujący na stojąco kolega, zaczął niedwuznacznie wpychać się na mnie tyłkiem. To znaczy wepchnął swoje dupsko we mnie – balansującego ze zwisającymi nogami na siedzeniu roweru. Nawet nie zdążyłem heteroseksualnie zaprotestować, bo natychmiast zgrzytnęło, nasz wehikuł przytarł podwoziem o asfalt, no i runęliśmy niczym nietrzeźwe bałwany. Rower typu damka nie posiada poziomej belki, która rozpiera tuleje kierownicy i siodełka. Jest więc bardzo wrażliwy na „niedozwolone” przeciążenia i dlatego złożył się w trakcie jazdy jak scyzoryk. To znaczy zgięła się rama. Nie pamiętam, czy tamtego dnia dotarliśmy na kółko biologiczne. W każdym razie straciliśmy rumaka, który niósł nas ku wiedzy, niczym uskrzydłony koń – Mahometa ku niebu. Może nadszedł czas na rozstanie z chemicznie techniczną biologią?

⁴O czynnik $(1 + v_p/v_r)/2$ w stosunku do czasu przejścia całego odcinka na pieszo, gdzie v_p to jednakowa prędkość obu pieszych, a v_r to jednakowa prędkość obu rowerzystów. Jadąc o wiele szybciej niż maszerując, można więc skrócić czas maksymalnie o prawie połowę. Dla $v_p = 5$ km/h i $v_r = 20$ km/h, czas skraca się o czynnik 0,625.

Ale bądźmy szczerzy: najłatwiej się rozstać, gdy pojawia się *nowa miłość*.

Jedna książka może zmienić człowieka na całe życie.

Jak już wspomniałem: wzorem racjonalności nie byliśmy i rzeczywistość mieszała nam się z fantazją. Czytało się różne banialuki, i to namiętnie. Od dobrze udokumentowanych wizyt UFO po potwora z Loch Ness i Yeti. I to z niezbyt wstydliwą nadzieją na ich prawdziwość! „Z nadzieją na”, chociaż nie „z wiarą w”. Chociaż, czy to duża różnica? Jest dziedzina ludzkiej kultury, która zaleca zaniedbanie tej różnicy na rzecz bardziej komfortowej z nich, czyli wiary. Nadzieja bowiem niesie dyskomfort niepewności, denerwujące zawieszenie domagające się prawdy. Wiara zaś, niesie komfort nie tylko wyznawcy-żywicielowi, ale i kapłanowi-pasożytowi. Jednak różnica pomiędzy nadzieją i wiarą jest nieistotna. Liczy się różnica pomiędzy nadzieją i brakiem nadziei. W wyścigu do prawdziwości, konie pseudonauki wyglądają chlerlawo. Czy pokładłbyś swą nadzieję w koniu, który wygląda chlerlawo w porównaniu z konkurentami? Żeby to zrobić, musiałbyś *wcześniej* postawić na tego konia, zanim go zobaczyłeś i zacząłeś zastanawiać się nad jego wygraną. O tak! Wówczas bezradnie zawiesiłbyś całą swoją nadzieję na tym koniu, jakkolwiek chlerlawym. Tak działają religie tego świata, nie wyłączając naszej. Najpierw postaw, najlepiej w dzieciństwie, a nie odstraszy cię ochwat ni kulawizna.

Książka, którą mój kolega-przyrodnik wystawił przeciwko moim UFO, Nessie i Yeti, nosi tytuł „Dzieci Wszechświata” i napisał ją niemiecki popularyzator nauki – Hoimar von Ditfurth. Nie mylić z von Dänikenem. Wydawnictwo PIW, seria $\pm\infty$. A w niej – pejzaż interakcji ziemskiej biosfery z Kosmosem, wzruszający i onieśmielający swoim „skromnym rozmachem”, tak charakterystycznym dla nauk przyrodniczych. Bo wyobraźcie sobie – wystarczy załadować tak banalny instrument jak elektroskop⁵ do gondoli balonu, polecieć hen wysoko, i mierząc tempo jego rozładowywania się, odkryć promieniowanie kosmiczne, które wypełnia cały Wszechświat. Spory kawał książki fascynująco traktuje o geologii i paleontologii. A więc prawda jest aż tak piękna? – pomyślałem, po raz pierwszy dostrzegając kompromitację w swych młodzieńczych studiach potworów sezonów ogórkowych.⁶

Kolejne dwie książki, w których Ditfurth w zajmujący sposób opisuje mechanizmy ewolucji, to „Na początku był wodór” oraz „Duch nie spadł z nieba”, ta ostatnia o ewolucji mózgu i świadomości. Czytałem z promieniejącą głową, czując się jak dziesięciolatek, który ze złożonymi rączkami, z zaangażowaniem podśpiewuje „Pan Jezus już się zbliża”. A przeczytawszy – z radością straciłem i nadzieję i wiarę, i to nie tylko w potwora z Loch Ness. Odetchnąłem z ulgą, znalazłszy sens: nadszedł czas, by „rwać kwiaty żywe”.

Książka „Dzieci Wszechświata” rozpoczyna się pamiętnym cytatem Kopernika ze wstępu do „De Revolutionibus”. A przedmiot rozważań Ditfurtha leży na styku geologii z inną dziedziną nauki, równie pełną gracji jak paleontologia – astronomią.

W małym PRL-owskim miasteczku, nie tylko szkoła była oknem na świat nauki. Przy niewielkim rynku była księgarnia, w której regularnie wypatrywaliśmy karmy dla nieukojonych umysłów. Gdzieś pomiędzy jednym a drugim tomem Ditfurtha, trafiłem tam na prawdziwą perełkę – popularnonaukową książkę autorstwa znanego pisarza science-fiction:

⁵Chociaż nie tak prosty jak ten, który znamy z lekcji fizyki.

⁶Przeczytałem tę książkę po dwudziestu pięciu latach, i znowu warto było. Trzeba jednak przyznać, że część z supozycji czy uogólnień Ditfurtha nie sprawdziła się, a część ciągle czeka na potwierdzenie. Zdarzają się też błędy merytoryczne w opisie zagadnień, które daleko odbiegają od specjalności autora. Na przykład, nie należy się z tej książki uczyć astrofizyki pulsarów i czarnych dziur.

„Wybuchające gwiazdy. Isaac Asimov wyjaśnia tajemnice supernowych”. Niewiarygodna, a jednak prawdziwa, historia rozkodowywania dziwów nieba, ale nie bez elementów geo i paleo. Napisana językiem tak gładkim, jakby się jadło kluski.

Tajemnica Narzutniaków pozostawała nierozwiązana, a książka Asimova zawładnęła duszą. Część wsi, w której mieszkałem, była co prawda zelektryfikowana, ale nie była oświetlona lampami ulicznymi. Po prostu ciemność czarna. Gdy się nocą wracało do domu ową pustą polną drogą, Droga Mleczna zwisała nad głową tak realnie i tak blisko, jak zbliżający się wał skłębionych chmur. Ba! Latem towarzyszyła mi nawet, gdy siedziałem za chlewikiem na wychodku przy otwartych na oścież drzwiach. Z jednej strony – potencjalne koprolity, z drugiej – konstelacje gwiazd. Wybór nasuwał się sam.

Książka Asimova traktowała o supernowych – tymczasowych „dodatkowych” gwiazdach, bardzo rzadko widocznych na niebie – raz na setkę, lub setki lat, ale bywa, że przewyższających jasnością prawie wszystkie obiekty niebieskie. Byłem tak podekscytowany, że wystarczyło mi wyjść na podwórko, żeby od razu wypatrzeć jedną z nich. Nie licząc Księżyca, była zdecydowanie najjaśniejszym obiektem na niebie. Cisza medialna na temat tej jasnej supernowej była jednak podejrzana. Według mapy nieba na rok bieżący, supernowa ta leżała w pobliżu zapętłonej linii, na której zaznaczono jakieś daty. Wyglądało na to, że trzeba będzie się trochę nauczyć...

Narzutniaki ciągle prowadziły skryty tryb egzystencji, a diamentowo czarne niebo wołało ze wszystkich stron. Rozzłoszczony na paleontologię, miał patrzeć pod nogi, postanowiłem spojrzeć w dokładnie przeciwnym kierunku – i zachłysnąłem się.

Ze snu o paleontologii wybudziła mnie więc astronomia – równie fascynująca dziedzina, a tym się różniąca od nizinnej paleontologii, że niebo, w przeciwieństwie do wapiennych narzutniaków, i o ile nie jest zachmurzone, nie ukrywa się. Wszystkim, którzy właśnie śnią, a których marzenia mają się nie spełnić, życzę aby się nie spełniły w równie przyjemny sposób, jak mnie.

Per aspera ad astra (podrozdział stricte niepaleontologiczny)

Łatwiej co prawda dostrzec niebo, niż narzutniaki pełne skamieniałości, ale i ono stwarza problemy w pierwszych dniach znajomości. Jest bowiem dalekie i ciemne. Do flirtu z niebem nie wystarczy zestaw młotek plus przecinak. Potrzebny jest sprzęt optyczny o wielkiej precyzji – jak choćby lornetka. Koszt lornetki znacznie przekraczał koszt „sztangi dropsów”, czyli moich typowych zasobów. Oznaczało to konieczność znalezienia jakiejś płatnej pracy wakacyjnej. A może tylko konieczność lobbingu?

Matki, jako biomaszyny zapewniające rozwój i przetrwanie ssaczego potomstwa, cechuje elastyczna tolerancja na najbardziej nawet dziwne poczynania i zachcianki swoich pociech. Wieś jednak, czy to PRL-owska czy reymontowska, to ekosystem o ograniczonych zasobach, dlatego dziwne hobby dziecka może być autentycznym zmartwieniem dla pragmatycznych ojców, którym instynkt nakazuje zaszczerpić swoim potomkom oszczędną gospodarność. Z tego powodu moje nowe, „jeszcze głupsze hobby”, spotkało się z tylko częściową aprobatą otoczenia. I tak na przykład Mężczyzna, Któremu Wiele Zawdzięczam, starszy ode mnie o jedno pokolenie, zwykł mi nie raz powtarzać: „jełopie, patrz pod nogi – na niebie nic

nie znajdziesz!”. W ten sposób, nieświadom nęcącego powabu Wapiennych Narzutniaków, bezwiednie namawiał mnie do powrotu do paleontologii.

Ale to właśnie On, któregoś dnia wręczył mi ręczną kosę i rzekł: „skosisz ten pasek sadu, a znajdzie się forsa na lornetkę.” Terenem do skoszenia był może niedługi, ale budzący respekt pas pomiędzy dwoma rzędami niskopiennych wiśni. Wysoka po szyję trawa była splątana z ich gałęziami w jeden nieprzenikniony organizm, a obkasanie pni wśród nisko zwieszonych gałęzi wymagało koszenia na kłęczkach. Już po chwili miałem dość, a po trzech chwilach – piekące pęcherze odcisków na nieprzywykłych dłoniach. Ale nie mogłem przestać, bo za ostatnią parą drzewek widziałem uchyloną gościnnie bramę z napisem „dostęp do nieba”.

Zanim się jednak pojawiła lornetka, w jednym z numerów „Młodego technika”, znalazłem prosty przepis na swoją pierwszą lunetę astronomiczną: duży arkusz papieru zwijamy w rurę-tubus, a z przodu wstawiamy soczewkę-obiektyw. W mniejszą papierową rurę wstawiamy soczewkę-okular i wsuwamy ją z tyłu do głównej rury. Gotowe!

Ta prosta budowa zabrała jednak wiele dni, ponieważ odnalezienie dużego arkusza papieru w czasach, w których gazety zastępowały papier toaletowy, było niełatwe. Z pomocą przyszedł pewien Kuzyn-O-Skłonnościach-Mechanicznych. Poleciał mi użyć najlepszy do tego celu (de facto nie najlepszy) materiał, który posiadał: ogromny arkusz grubego na dwa milimetry preszpanu. Taki preszpan jest sztywny: trudno było zgiąć jego końce w kształt litery U, a co dopiero w rurę o średnicy siedmiu cm. Sceny jego rolowania, nadawałyby się do komedii Charliego Chaplina. Albo do kreskówki z psem Pluto: preszpan wyskakiwał z rąk, a później z różnych jarzm, którymi próbowałem zmusić go, aby się zwinął. W końcu jednak powstała gruba i sztywna jak lufa czołgu rura. Efekt ostateczny był jednak mizerny: obiektyw, czyli zakupiona u okulisty soczewka do okularów, dawała obraz tak złej jakości, że trzeba było zasłonić ją prawie całkowicie diafragmą z małym otworkiem. Grubaśna metrowa rura funkcjonowała więc raczej jako bezużyteczny „pojemnik na cień” diafragmy. Czynna część soczewki zmieściłaby się w wąskiej na centymetr rurce.

Były i inne trudności: czarne niebo niby tuż za drzwiami, ale dojść do nich niełatwo. Po drodze – korytarz przylegający do sypialni rodziców. Drzwi do sypialni – zawsze uchylone. Natura dźwięku jest złośliwa: ten sam dźwięk słyszany w dzień jest cichszy niż tenże dźwięk słyszany w nocy. By otworzyć drzwi, trzeba nacisnąć klamkę, która tkwi w zamku. Wówczas zamek – a w naszym starodawnym domu mieliśmy zamki jak w zamku, tzn. wielkie zamki skrzynkowe – wydaje *głośny szcęk*. Tym głośniejszy, że gdy stukniesz w skrzynkę, rezonuje krzynekę. Towarzyszył temu zawsze oburzony i żądający głos z sypialni: „Przeestaniesz rumotać? Pójdiesz wreszcie spać?”. Milczałem, odpowiedź formułując jedynie w myślach: „Jakie *wreszcie*? Zamierzam dopiero *rozpocząć* obserwacje, które potrwać kilka godzin. Wynoszę dopiero lunetę i statyw. Zamierzam za chwilę wrócić po atlas, aparat, lornetkę, latarkę... Za trzy godziny wszystko to będę wnosił z powrotem, i znowu etapami.” W ciemnościach korytarza, przy uchylonych sypialnianych drzwiach, statyw zawsze zahaczał o szafki, ściany, klamki, zamki, dodając do złego swój dźwiękowy wkład.

Miłośnicy astronomii to też niezli wariaci. Mogą być wariatami specjalności ogólnej, jak i szczególnej. Tak jak miłośnicy paleontologii, którzy mogą zbierać wszystko, albo wyłącznie „gąbki ordowickie”, astroentuzjaści mogą np. zliczać meteory, wyznaczać jasność zmiennych gwiazd, czy poszukiwać nieznanych komet. Ta ostatnia czynność jest najmniej zawiła, i najlepsza dla próżniaków żądnych sławy, ponieważ nowa kometa uzyskuje nazwę, która jest nazwiskiem odkrywcy. Toteż natychmiast, wyposażon w lornetkę, się tym zająłem.

Trzeba jednak przyznać, że jest to zajęcie żmudne, ponieważ polega na regularnie potwarzanym przeglądaniu nieba „raz przy razie”. Zawsze w pozycji nieruchomej i zawsze na mrozie. O ile nie ma dwóch takich samych narzutniaków, o tyle wszystkie oglądane układy gwiazd pozostają zawsze takie same (no – praktycznie zawsze – patrz książka Asimova). Przy odrobinie „pamięci wzrokowej”, astroukłady te szybko zapamiętuje się z fotograficzną dokładnością. Osoby takie mają je chyba wypalone na siatkówkach, tak że gdyby żarówki powsadzać im do łbów, mogliby z powodzeniem zastąpić planetaryjne projektory Zeissa.

Odkrycie tą metodą komety nieznannej jest bardzo trudne. Odkrycie tą metodą komety *sobie* nieznannej, szczególnie gdy jest się odciętym od innych miłośników, komeciarzy, astroroczników i astromagazynów, jest bardzo łatwe. Jest tylko kwestią czasu.

Takowoż wyślipiłem wkrótce komętę tajemniczą jak dreszcz, w najbardziej polskim ze wszystkich gwiazdozbiorów – Tarczy Jego Wysokości Króla nam Miłościwie (?) Niegdyś Panującego – Jana Sobieskiego. Obserwacja wykonana po kilku godzinach potwierdziła – obiekt porusza się na tle gwiazd. Kometa była sześciomagnitudowa - czyli widoczna dla Profesjonalnych Astronomów tak jaskrawo, jak byki w dyktandzie dla Pani-Od-Polskiego.

Alem tego wówczas nie wiedział, emocje były wielkie, a potrzeba zaalarmowania najwidoczniej niczego nieświadomego świata naukowego paliła. Tym razem nie byłem już jednak bezradnym malcem z kamykiem w garści: wiedziałem, że w centrum wsi jest PGR, w pe-gie-e-rze – biuro, a w biurze – telefon. Obok telefonu zawsze spoczywa gruba książka telefoniczna, a w książce – numer do zapewne fascynującego Obserwatorium Astronomicznego Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Piwnicach. Telefon odebrał może aż i doktor, niejaki M. Mikołajewski...

Ale ale, czy astronomia jest gałęzią paleontologii? Zdaje się, że odbieглиśmy od zasadniczego tematu tej opowieści niedopuszczalnie daleko. Zanim przejdziemy do wydarzeń współczesnych, może jeszcze jedno wspomnienie z czasów dziecinnej młodości.

Są ostatnio modne zabawki typu „Wydobądź sobie minerały”, lub „Odkop sobie dinozaura”. Jest to bloczek gipsu lub sztucznego piaskowca, w którym producent ukrył prawdziwe, lecz maleńkie minerały, albo plastikowe elementy szkieletów dinozaurów. W wielkich centrach handlowych bywają paleotematyczne zachęty-promocje: w ich holu można pojeździć sobie wierzchem na mimośrodowo poruszanej tyranozaurze. Towarzyszy im zwykle sporej wielkości piaskownica, w głębi której tkwią plastikowe odlewy piszczeli czy czaszek dinozaurów. Jak dobrze wiemy z własnego doświadczenia, chęć zabrania efektywnych znalezisk do domu jest nieodparta. Odczuwają ją również pięcioletni pasjonaci, którzy taplając się w piasku dobywają tych szczątków. Dlatego te plastikowe gnaty są przymocowane łańcuchami lub stalowymi linkami do podłogi. Ponieważ horyzont kolekcjonerski trzylatków jest znacznie szerszy niż osób dorosłych, szpachelki, łopatk i pędzle przymocowane są również.

W czasach PRL-u taka zabawa miała zupełnie inny wymiar. Mianowicie pewien Lubiany Wujek, dowiedziawszy się, że grzebię w okolicznych strumykach „w poszukiwaniu dinozaurów”, złożył mi raz propozycję nie do odrzucenia: „Chcesz znaleźć szczątki dinozaura? Zajrzyj do mnie, pokażę ci, gdzie kopać.” Kopiąc we wskazanym miejscu na skraju pola, faktycznie szybko wydobyłem duże i zmurszałe kości. W gustownym bursztynowym kolorze, z poobtrącanymi krawędziami odsłaniającymi gąbczaste wnętrza. Nieplastikowe i nieprzywiązane! Był tylko jeden problem – nie wyglądały na skamieniałe. „Wuja, co to

jest?” W odpowiedzi grzmiał tylko wujowy śmiech. „Ale na serio – co to takiego jest?” „No jak – dinozaurów szukasz, a nie wiesz? Dinozaur!” Trudno dzisiaj zdecydować, czy w tym incydencie chodziło o nabijanie się z wioskowego dziwaka-idioty, czy też może Wujek naprawdę chciał mi zrobić przyjemność, rozjaśniając trochę szarżynę życia niezwykle „udanym” dniem wykopaliskowym. Na pewno udało mu się zdemaskować moją całkowitą ignorancję w dziedzinie anatomii kręgowców. Dlatego wziąłem z tego „stanowiska” próbkę – beżową kość o rozmiarach i kształcie męskiej, garderobianej muszki.

Pokazałem ją wiadomemu koledze-przyrodnikowi, który bez większego namysłu orzekł: n-ty lub m-ty krąg szyjny świni domowej (*Sus scrofa* f. *domestica*, Linnaeus 1758). Sprawa stała się jasna: Wujek był ciekawy w jakim stanie – po jemu tylko wiadomym czasie – zachowały się pogrzebane ssacze zwłoki.

PODROZDZIAŁ DWA COMA JEDEN

Wreszcie – szkielet dinozaura!

„Szkielet Diplodocus z kopalni w Utah już zajmował preparatorów przez ostatnie półtora roku a wygląda na to, że potrzebny będzie jeszcze rok, żeby ukończyć preparację. Zmontowanie szkieletu zabierze jeszcze jeden rok. Powstanie wielka atrakcja, ale poza tym – nic ciekawego.”⁷

Możecie sobie zadawać pytanie skąd u ucznia szkoły średniej takie dobre rozeznanie w kościach kręgowców. Porzekadło mówi: *chłop żywemu nie przepuści*. Mój kolega-przyrodnik natomiast, nie przepuszczał ni żywemu, ni martwemu. I właśnie dzięki temu miał mi wkrótce zademonstrować, co to znaczy wypreparować i zmontować kompletny i prawdziwy szkielet dinozaura.

Wujowy „dinozaur” okazał się świnią, a szansa na wykopanie kompletnego szkieletu prawdziwego dinozaura była żadna. Krasiejów i Lisowice były wtedy jeszcze pieśnią przyszłości. Od czego jest jednak wiedza naukowa! Nauka mówi nam, że dinozaury *przetwały* uderzenie asteroidu, który wybił jukatański krater Chicxulub i doprowadził do katastrofy wielkiego wymierania na przełomie kredy i trzeciorzędu. Nieliczne dinozaury przeżyły zagładę dinozaurów, i dlatego ćwierkają, gdaczą i fruują dzisiaj wokół nas. Lekcja preparacji dinozaura mogła się więc odbyć na przykładzie współczesnego okazu opierzonego.

To przekłete dojeżdżanie, do szkoły, czy ze szkoły, z uczelni, czy na uczelnię, wykańczało nas. Autobusy albo „nie jechały”, albo „nie zabierały”, albo „było jeszcze daleko do najbliższego odjazdu”, więc miewaliśmy sporo wolnego czasu na bezmyślne szwendanie się po okolicy. Pewnego razu, podczas takiego zimowego błąkania się po naszym zmrożonym małym miasteczku, kolega wypatrzył zdechłe truchło wmrózone w lodową pokrywę wodnego kanału, tuż przy śluzie. Opierzone truchło. Ruch spadającej ze śluzy wody uniemożliwił pełne zamrożenie całej powierzchni kanału – w lodowej pokrywie była wyrwa. A w cieńszym lodzie okalającym wyrwę tkwił duży szary ptak. Nie mogłem uwierzyć własnym

⁷Tak, w liście z lipca 1925-go roku do Barnum Browna z American Museum w Nowym Yorku, pisał Charles Whitney Gilmore, jedna z ostatnich postaci amerykańskiego „złotego wieku” polowań na dinozaury. Dwudziestotrzynastometrowy *Diplodocus* został w końcu zmontowany w 1931 roku. Jego odkopanie, transport, preparacja i złożenie zabrały 2545 dni – ekwiwalent codziennej pracy jednej osoby przez dziewięć lat.

oczom, widząc jak kolega-przyrodnik, ryzykując zamoczenie się lub coś jeszcze gorszego, ostrożnie manewruje w kierunku kipiącej wodą gardzieli, z zamiarem wydobycia z lodu swojego nekro-orni-trofeum.

– Zwariowałaś? Skąpiesz się! Po co ci to gnijące gówno!

– Nie panikuj, jest mróz.

Po chwili był z powrotem na brzegu, z głupkowskim uśmiechem i wielką lodową taflą w rękach. W ociekającej wodą tafli tkwił sporej wielkości ptak – czapla siwa (*Ardea cinerea*; oczywiście Linneusz; wiadomy rok). Usłyszałem:

– Nie masz może jakiejś reklamówki czy czegoś?

– Po co ci to? Przecież za chwilę wsiadasz do autobusu!

Jego pobłażliwy uśmiech zdawał się mi mówić, że i tak nie pojmę po co rychłemu pasażerowi PKS-u, martwy kompan ptak.

W autobusach PKS-u, z rzadka na szczęście, ale jednak dochodzi do wszystkiego: a to się rozleje piwo, a to ktoś się zeszczy, więc co komu szkodzi tający trup?

Także trup tajał, i tafla tajała, ciągnąc smugę wody przez cały autobus, kiedy mój znajomy zmierzał do swojej spartańskiej pakamery w nieco oddalonym wielkim mieście. Albowiem od pewnego czasu mieszkał już w mieście.

Preparacja współczesnego dinozaura rozpoczyna się więc od swego rodzaju rozpuszczenia matriksu, czyli roztopienia lodu. Dalszych etapów nie będę opisywał po pierwsze dlatego, że ich na szczęście nie widział, a po drugie że nie zootechnik. Mogę sobie tylko wyobrazić, że proces obejmował wrywanie lotek ze skrzydeł, długie gotowanie zwłok na kuchennej kuchence, oddzielanie mięsa od kości, a wreszcie zmontowanie ich w cały szkielet przy pomocy mocnego kleju. Miałem niebawem ujrzeć efekt końcowy tej operacji, bowiem czynniki biologiczne zmusiły mnie do odwiedzania kanciapy mojego kolegi.

Czynnikiem owym była Wielka Miłość, do której popchnęły mnie splecione w podwójną helisę przedwieczne replikatory, obecne w każdej komórce mojego ciała, czyli nieśmiertelne cząsteczki kwasu DNA. Otóż ni z tego, ni z owego – w samym środku trzaskającej mrozem zimy – moje DNA postanowiło połączyć się z innym DNA, należącym do zupełnie innej niż ja, całkowicie autonomicznej osoby. Moje DNA wybrało sobie DNA umieszczone w niezwykle pięknej osobie: o szczerych acz nienaiwnych oczach w kolorze piwnym, naturalnych niewyskubanych brwiach, i ustach zbyt pełnych o właśnie tę odrobinę, którą do każdego zwykłych ust dołożyłby każdy z nas. Raczej wysoka, szczupła, z pupą co stale daje znak. STOP! Tutaj jestem zmuszony przerwać ten bardzo przyjemny opis, choć mógłby on trwać i trwać.

Nieszczęśnica owa, mieszkając w innej niż ja wiosce sąsiadującej z naszym małym miasteczkiem, była również zmuszona do dojeżdżania. Moje DNA dokonało wyboru w rozdręganym autobusie, którym razem zmierzaliśmy w stronę wielkich miast. Wysiedliśmy na głównym. DNA sterujące moją osobą sprawiło, że podszedłem i wygarnąłem: „Daj się poznać.” Choć to nie było pytanie, odpowiedziała „Nie ma sprawy”, czy jakoś tak.

Był środek zimy. Żadne z nas jeszcze nie mieszkało na swoim. Kolega-przyrodnik miał ździebko co prawda obskórnową, ale własną pakamerę. Na podłodze w jednym z jej pomieszczeń – materac. W związku z powyższym zarówno moje, jak i Jej DNA uznało za świetny pomysł, aby odwiedzać czasami kolegę pod jego nieobecność.

W nogach rzeczonoego materaca wznosiło się dzieło pasji zoologicznej mojego kumpla: kompletny szkielet czapli siwej, z dość naturalnie rozpostartymi skrzydłami, a każde z nich dźrzyło pełen zestaw pieczołowicie przymocowanych lotek – piór. Piękny widok. Skalą rozmiaru szkielet czapli nie dorównuje *Diplodocus*, ale jeśli chodzi już o liczbę żmudnie

i cierpliwie połączonych elementów, w tym piór – z pewnością tak. Kolega jest raczej niski, podczas gdy moje kulasy, gdy śpię, wystają pół metra za każdy tapczan. Szkoda by było, gdyby tak efektowny rezultat pedantycznego wysiłku, miał zostać rozbity przez szal splątanych ciał. Szkoda by było, gdyby moje i Jej DNA pokierowało ruchem naszych ciał w sposób destrukcyjny aż tak.

*„Lubię to - i tę chwilę lubię, gdy koło mnie
wyczerpana, zmęczona leży nieprzytomnie,
a myśl moja już od niej wybiega skrzydlata
w nieskończone przestrzenie nieziemskiego świata.”*

Skrzydłata była też *Ardea cinerea*, która widziana z poziomu materaca wznosiła się nad nami niczym Nike z Samotraki. Przetrwała wszystkie rozmowy naszych dwóch DNA. Dopiero znacznie później, zżarły ją piórojady i znokautowali uczestnicy zakrapianych bibek.

ROZDZIAŁ KOLEJNY

Podmiejskie chaszczce, czyli o pięknie przyrody lokalnej

Temat piękna przyrody widzianej za naszymi oknami wyczerpująco i rymem potraktował wieszcz Adam, w trzeciej księdze „Pana Tadeusza”, pt. Umizgi. Trzeba nam jednak wprowadzić do fabuły pewne podmiejskie chaszczce, które również stwarzają okazję afirmacji przyrody lokalnej.

Morfologia krajobrazu Polski jest banalnie prosta: jest to czwartorzędowa równina o kształcie kwadratu o boku pół tysiąca kilometrów. Środkiem płynie wielka rzeka Wisła, do której wpływają rzeczki, które złołbiają roweczki. Na dnie tych roweczek przycupnęły małe miasteczka. Zbocza tych rowków, zbyt strome i niestabilne by służyć uprawie lub zabudowie, porastają chaszczce i drzewostany różnej maści. Nierzadko z udziałem zwyczajnego grabu (*Carpinus betulus*), o czym świadczą nazwy owych drobnych miejscowości: Grabowy, Grabiny, Grabownice, Grabczychy, Grabki Duże, Grabki Małe.⁸

Także i pewne miasteczko, rzeką Brdą niemal ze wszech stron okolone, otoczone jest parkiem o nazwie Grabina. Obszar ów zwykło się *parkiem* nazywać, chociaż w przewodniku opisany jest jako „lasy grabowo-dębowe na zboczach Brdy”. Żale młodości leczyliśmy zanurzając się w Naturze. A Naturą, która była zawsze blisko, i zawsze pod ręką, była Grabina. Rzeka opasywała miasteczko, więc w którąkolwiek stronę by nie pójść, trafiało się na Grabinę. Grabinę, która pomimo, że tu i tam zaśmiecona, tu i tam zdeptana, zawsze była źródłem wzniosłych przyrodniczych przeżyć.

Zaraz zaraz, zapytacie, jakichże to przeżyć, wobec cudów świata, może dostarczyły zwykły podmiejski park?

Przyroda Wielkiego Świata faktycznie oferuje szeroki wachlarz wrażeń i emocji. Jeden ze szlaków w namibijskich górach Naukluft na przykład, biegnie korytem podsychającego strumienia. Błotniste koryto pokryte jest równomiernym kobiercem małych białawych motyli. Gdy weń wchodzimy, owady podrywają się wielką chmarą i doświadczamy istnej

⁸M. Ziółkowska, „Gawędy o drzewach”.

śnieżycy motyli skrzydeł. Kotłuje się wokół nas wielka uskrzydłona zawierucha, motyle odbijają się od naszych ramion, piersi, głowy, twarzy. Wrażenie jest niezwykle, jedyne w swoim rodzaju. Antylopy w słońcu zachodzącym nad Kalahari wyglądają jak starożytne boginie. Są w jakiś sposób dostojne, powabnie smukłe, zdrowe, czyste, o strzelistych sztyletach bardzo długich rogów. Po słowackiej stronie Tatr, w Prosieckiej Dolinie, na monstrualnych rozmiarów oście, objada się niepylak apollo – piękny swoją barwą, swym rozmiarem i swą zdawałoby się niespożytą energią. Na zmurszałym pniu w Sulovskich Skalach odpoczywa zaś sobie zaiste nadobna, nadobnica alpejska. Na jej niebiesko oszronionym pancerzu – czarne oka plam, a każda plama obrzeżona cienką białą linią. Liany w tajskiej dżungli biegną przez świat poziomo, a po lianach tych biegnie wielki tłum wielkich czarnych mrówek. Pochód ich nie ma początku ni końca. Śpieszą krokiem tak żwawym, tak pewnym. Duże nadrzewne jaszczurki zaś nie chodzą – raczej strzelają ciałem z miejsca na miejsce, że ni wzrok, ni umysł za nimi nie nadąża. Gdy zanurzymy głowę w przybrzeżnych falach indonezyjskiej rafy, zobaczymy trójwymiarowy świat koralowców, czy gąbek, świat pofałdowany niczym kora mózgowa. Są tam przerażające, czarne jak smoła jeżowce o kółkach dramatycznej długości i ostrości. Myśl o dotknięciu ich budzi strach. Gdzie indziej zaś gigantyczne, kłapiące skorupami małże, odsłaniające swoje mięsnoróżowe wnętrza. A weźmy owady Afryki. Na łokieć prawie wielkie patyczaki, grube jak kciuk. Komiczne, fruwające patyczaki. Pękate skarabeusze, żywotne i silne, wierzgające tak, że trudno utrzymać je w dłoni. Wielkie biegaczowate strykające chemikaliami, od których powąchania – paranoją bulgocze człowieczy mózg. Okropne, że zgroza, solfugi, na widok których strachu i obrzydzenia dreszcz. A po drugiej stronie Atlantyku – chóralny, huczący szum cykad. Najpiękniejsze kaniony Colorado w parku Canyonlands. Obłęd pomarańczowych skalnych form w Bryce Canyon czy megamonolity piaskowcowych ścian Zionu. Przepastne wodospady i kilometrowe skalizcza Yosemite, wieczorny śpiew elków w Yellowstone, krwistoczerwone „wróble” w Brazylii... Ech, co wobec tychże mógł nam zaoferować rozdeptany podmiejski park?

Otóż każdy polski las czy park sam również jest częścią wielkiego przyrodniczego świata. Grabina oferowała nam drzewa. Potężne korony i pnie wiekowych dębów, których i dwie osoby nie obejmą. Ostańce pni złamanych drzew, zerodowane i zmurszałe jak w baśniowym śnie. Złamane puste pnie, do wnętrza których można było wejść. Malownicze złogi ogromnych pni padłych dębów, oblepione grzybem, porostem i mchem. Grabina oferowała nam cztery pory roku i feerię barw. Jesienią – pasma czarnych pni tnące soczystą żółć i czerwień liści. U progu zimy – pierzastą, grubozdobną szadź, która zamienia pajęczyny w wyraźne bisiory bieli, a wszystko w burej ciężkiej mgłę. Latem – całe roje świetlików, które czynią park magicznym jak lasy Pandory z filmu Avatar. Zapach wilgotnej ściółki, zapach ziemi o trzeciej nad ranem, zapach wiosny.

To Grabina stale pokazywała nam jak piękny jest zooświat. Piękno ptaków – czapli, sójki czy zimorodka – cieszyło nas w dzień, w środku nocy zaś nasze sceptyczne dusze ratował od zguby obłędny śpiew słowika.

Grabina stale zapewniała niesłabnący strumień odkryć zoologicznych. Pewnego cichego wieczoru w parku przywitało nas głośnie na cały park terkotanie. Ku mojemu zaskoczeniu, dźwięki wydawał mały, ale diabolicznie wyglądający zwierz – turkuć podjadek. Toż ten owad to prawdziwe monstrum! Wielki pewnie na sześć centymetrów, przód ciała jak u kreta, z wielkimi łapskami do rozgrzebywania gleby, z wielkim, wstrętnym, „skórzastym” workiem segmentowanego odwłoka. Zwierz niesamowity, jak nie z tej planety.

Miała też Grabina swój świat podziemny. W przepastnych piwnicach zmiecionej z po-

wierzchni ziemi restauracji odkryliśmy stałe zimowisko kilku gatunków nietoperzy. Ich różnorodność była fascynująca. Klasyczne nocki rude i Natterera, wielkie, strach niemal budzące nocki duże. Wprost niesamowite gacki wielkouchy, o ogromniastych, acz delikatnych uszach, długich na trzy czwarte długości ciała. Trafił się nawet mopek ze swą czarną diabelską mordą.

Była też Grabina niesamowitym krajobrazem geologicznym. Była wprost żywym podręcznikiem geologii. Przecinał ją bowiem strumyk-ściek, wypływający z pobliskiego przedsiębiorstwa, położonego na skraju równiny otaczającej parkową dolinę Brdy. Z powodu znacznej deniwelacji, ściek ów, zasilany również przez wody opadowe, pracowicie wycinał coraz to głębszy rowek, parów, a w końcu wręcz kanion w nadrzecznym zboczu. W jednym miejscu przeciął i odsłonił żyłę brunatnego węgla. W niższych partiach swojego biegu trafił na podłoże zwartej gliny, na którym utworzył z prawdziwego zdarzenia wodospad, wysoki na chyba ze dwa metry. Wyobraźcie sobie! Prawdziwy wodospad na naszym marnym pojezierzu, gdzie wszędzie same luźne, niezwiązane skały. Mało tego. Nabrawszy energii na tym gliniastym progu, poniżej owego wodospadu strumyk ten wyrwał ogromną wyrwę wielkości dużego budynku. Był to wprost kanion o ścianach stromych, pionowych, a nawet przewieszonych, i to przewieszonych ekstremalnie, bowiem gleba związana przez darń i korzenie drzew i krzewów, utworzyła bo jego obu stronach ogromne ziemne nawisy. Co więcej – wyrwa-kanion dosłownie rosła w oczach. Gлина to nie piaskowiec, dlatego próg wodospadu cofał się zgodnie z objaśnieniami z podręcznika geologii, niczym jakiś Niagara, tylko znacznie szybciej, czasami nawet o kilka metrów na rok. Można więc było na własne oczy zobaczyć geologiczne siły Natury w działaniu, i to w czasie rzeczywistym! Od stromych ścian kanionu co i rusz separowały się wysokie wieże gliniastych ostańców, i zapomniawszy na chwilę, że to glina, można było przez chwilę poczuć się jak w górach. Co i rusz (tzn. co kilka lat) do czeluści kanionu wpadały okoliczne drzewa, w tym jedno naprawdę okazałej wielkości, które z wielką bułą ziemi gruchnęło w sam środek wyrwy, łamiąc się w pół, i przybierając kształt nieco podobny do warszawskiego szopenowskiego pomnika. Widok skutków tego przemeblowania był dramatyczny.

Ale i to nie wszystko. W jeszcze niższych partiach strumień przecinał bardziej piaszczyste podłoże, i w końcu wpadał do Brdy, z czasem się rozwidlając i tworząc coraz to większą i większą, piaszczystą deltę, która rosła na naszych oczach.

Wiele klasycznych procesów geologicznych: cofanie wodospadów, rozrost delt rzecznych, konwergencja profilu erozyjnego do profilu równowagi, transport rzeczny, czy akumulację, mogliśmy zobaczyć na własne oczy, przyglądając się dość leniwemu zazwyczaj strumykowi, który oddziaływał na nasze kujawsko-pomorskie, nędzne, tzn. niezwiązłe, podłoże skalne.

Takież to atrakcje, lepsze od Multikina, oferowała nam nasza Grabina.

Była więc Grabina lekarstwem dla naszych znękanych, poszukujących młodzieńczych dusz. Była naszą Świątynią Prawdziwą, a wyrwa-kanion – naszym Sanktuarium. Jeśli jednak myślicie, że niestabilność zboczy doliny Brdy była równie lecznicza dla innych mieszkańców – mylicie się srodze. Dla niektórych była ona wręcz – antylecznicza.

Rzeka bowiem to przeszkoda w lokomocji. Niektórzy mieszkańcy miasteczka pracowali w pobliskiej cegielni, położonej po drugiej stronie Brdy. Dostać się tam – tylko jeden sposób – trza było przejechać przez archaiczny most nieczynnej już kolejki wąskotorowej. Most wysoki i malowniczy, ale wąski i o wątpliwie wątlej nośności. Most pokonywało się rowerem, dalej jechało wąską ścieżką wzdłuż torów, pod wielkim baldachimem gęstej dzikiej zieleni.

Pokonywałem tę trasę wielokrotnie, sterowany swoim DNA, które kierowało mnie ku

mojej Wielkiej Miłości. Emigrowałem z jej ramion nierzadko nad ranem, jeszcze w cze-
luściach ciemności. Były to isticie egipskie ciemności: nawet światło gwiazd odcięte było
szczelnym dachem liści. W rowerze – wiadomo – światła brak, bo po co światła gdy się
tylko przez chaszczę jedzie. Na wąskiej leśnej ścieżce przecież TIR nas nie rozjedzie. W
pewnym miejscu pokonywało się długi prosty odcinek, na którego dalekim końcu niewy-
raźnie majaczyła poświata polanki, położonej przy jednym z końców wąskotorowego mostu.
Wiedząc, że ścieżka jest prosta, i obrawszy azymut na poświatę u wylotu prostego odcinka,
można się tam było nawet znacznie rozpędzić. Czy tak samo czynili dojeżdżający rowerem
pracownicy cegielni? Tego nie wiem, ale wiem na pewno, że podczas takiej rowerowej jazdy
po omacku, jeden z pracowników nagle poczuł, że znajduje się w locie swobodnym. Znalazł
się w locie swobodnym ciągle siedząc na rowerze. Po czym nastąpiło uderzenie i oczywiście
przykre obrażenia. Z których najdotkliwsze, chyba, to połamane obydwie nadgarstki. Po
owym wypadku, mieszkańcy naszego małego miasteczka ekscytowali się bardzo na myśl,
co musi uczynić żona naszego poszkodowanego rowerzysty, gdy temu zachce się np. sikać.
Mniejsza o to. Co się stało? Wody opadowe, ciche, a jednak brzegi rwące, doprowadziły owej
nocy do znacznego obsunięcia gruntu w dół doliny. Ścieżkę rowerową przecięła ogromna
wyrwa, do której wpadł nasz pechowy rowerzysta.

Najniezwyklejsze w Grabinie było to, że wciąż nas zaskakiwała. A to obsunął się gdzieś
grunt. A to, po długich ulewach, wiatr przewrócił duże drzewo i w ogólnej masie ziele-
ni otworzyła się Wielka Przestrzeń. A to zamiast znaleźć, tam gdzie zwykle, znane nam
ogromne drzewo, znajduwaliśmy wielkich rozmiarów kikut pnia złamanego jak zapalną
przez wiatr. Nawet jasny bolid przytrafił się nam na Grabinie. Zmienacka rozświetlił nam
śnieg pod nogami, zakreślił zamasyżycie cieniami krzewów i drzew i zostawił bardzo jasny
ślad nad naszymi głowami. Zdarzyło się to 15-go grudnia późnym wieczorem, nikt już nie
pamięta którego roku. Cudownie było napawać się tak majestatycznymi zjawiskami Natury.

Oczywiście taki fajny park miał też szereg innych zalet. Był świetnym miejscem pobytu
wagarowiczów. Bywało, że pary bez własnego mieszkania rozładowały w parku swoją
chuć. A i my go odwiedzaliśmy nie z notatnikiem, nie z lupą i nie z siatką na okazy. Prawda
taka, że odwiedzaliśmy go albo żeby się bezmyślnie poszwędać, albo żeby zrobić wrzaskliwą
zakrapianą imprezkę. W tym ostatnim przypadku często towarzyszył nam pewien Gitarzy-
sta Naturalny. Pozbawion jakichkolwiek profesjonalnych umiejętności muzycznych, typu
czytania nut, czy właściwej techniki palców, posiadał wszystko inne co trzeba do grania z
werwą i pazurem. A jeszcze grał właśnie to cośmy najchętniej śpiewali. A gdy trza było to
grał, i to długo, w kilkunastostopniowym mrozie.

W środku parku stał jeden z bardziej majestatycznych dębów, którego nazwaliśmy
„Wielkim Dendronem”. Jego korzenie uformowały naturalne siedzisko, które zajmował Gi-
tarzysta Naturalny. Przy wtórze śpiewaków-pijaków z serca grał, gwiazdy powoli toczyły
swe koła po niebie, a gleba pachniała.

O samospełniających się postanowieniach noworocznych

Życie kolegi-przyrodnika nie było usłane różami. Zbyt wcześnie osierocony przez matkę, nękanym zwykłymi surowościami życia, lubił zbliżać się do krawędzi, sprawdzając co mu zgotuje ślepy los. A to wlaź pod torowisko na moście, by poczuć energię i łoskot przejeżdżającego tuż nad jego głową pociągu, a to znów igrał z piromateriałami.

To ostatnie zdarzyło mu się podczas pewnej imprezy sylwestrowej, w moim małym pokoju na n-tym piętrze bloku mieszkalnego. Ściany pokoju raz przy razie obwieszane były fotografiami i rysunkami mojego autorstwa, z którymi byłem oczywiście uczuciowo związany. Okno było otwarte na oścież. Jako niemądre młodziki, odpalaliśmy małe hukowe petardy i ciskaliśmy je przez okno, strasząc detonacjami bogu ducha winnych przechodniów. Po odpaleniu lontu kolega-przyrodnik odczekiwał chwilę, tak żeby petardy wybuchły jeszcze w locie, najlepiej tuż za oknem. A im dłużej ta zabawa trwała, odczekiwał dłużej i dłużej, tak jakby chciał na własnej skórze sprawdzić, czy palce są tak nieodzownym narządem, jak twierdzą pechowcy-stolarze. W końcu, z dziwnie kawalerskim wyrazem twarzy, odczekał tak ekstremalnie długo, że zwątpiłem czy ładunek, nim wybuchnie, zdąży się znaleźć za oknem. On jednak błyskawicznym ruchem wepchnął petardę w leżącą na stole mandarynkę. Wcisnął ją na całą głębokość. Bum! Sok pomarańczowy był wszędzie. Pokrył też wstrętną warstwą moje z namaszczeniem eksponowane na ścianach arcydzieła. Taki to był z niego kawalarz.

Bywało, że miewał pecha nawet wtedy gdy miał szczęście. Któregoś półmrocznego ranka obudził się jak zwykle, włączył radio, i usłyszał nachalnie wodzirejski głos spikera, że gdzieś w mieście Bydgoszczy znajduje się ekipa radiowa rozgłośni, którą właśnie słuchał. Kto pierwszy znajdzie ekipę – ten będzie mógł wskazać swoją ulubioną piosenkę, a piosenka ta zostanie puszczone w eter z dedykacją dla znalazcy ekipy lub dla wskazanej przez niego osoby. Jak to nad ranem, kolega odsłonił okno i natychmiast ujrzał wspomnianą ekipę po przeciwnej stronie ulicy. „Co tam, czemu by nie spróbować?” Kolega zszedł do zespołu radiowego, i poprosił o hymn naszej młodości – piosenkę „Stefan” zespołu *Bielizna*. Ku jego rozczarowaniu okazało się, niestety, że utwór takowy nie znajduje się w zasobach muzycznych tejże rozgłośni radiowej. Poproszono go o wybranie innego utworu. Ale z racji swoich nieelastycznych preferencji artystycznych, oraz z racji bagażu nostalgicznych wspomnień młodości, innego utworu kolega nie chciał. Aby radiowo-imprezowy nastrój trwał, puszczone mu więc jakiś zwyczajowo-popowy utwór obowiązującego wykonawcy, w stylu znieawidzonym przez kolegę-przyrodnika. Był to jeden z wielu tych utworów, które bez żenady naśladują obowiązujący lub ograny styl. Był to utwór, który dowodził tylko, że prawie wszystko już było, nowych pomysłów brak, ale rodzą się nowi wykonawcy, więc trzeba ich grać. To był naprawdę nieudany początek dnia.

Kilka lat później, podczas innego sylwestra, w okolicy północy ruszyliśmy w kilka osób na Grabinę. Przez wąskotorowy most i hen dalej. Nieźle mroziło i był to śnieżny Nowy Rok, a na dodatek owej nocy szadź grubą warstwą ozdabiała każdą gałąź, każde źdźbło i każdy krzak. Widok był wprost zjawiskowy. Szliśmy wąskimi ścieżkami, otulonymi przez zasklepione nad głowami baldachymy gałęzi, aż ciężkie od krystalicznie białej szadzi. Z głów już nieźle kurzyło, a i tak z trzymany w rękach flaszek jeszcze się w gardło łało. W takim to wzniosłym nastroju, podtańcując nieco w marszu, kolega przyrodnik dziarsko zaintonował:

Do la – ta, do la – ta, do la – ta, piechotą, będą szła-a, ...

Ścieżka szybko doprowadziła nas do uroczo zaśnieżonej, owalnej polanki otoczonej brzo-
zami. Biel ich pni odcinała się na tle czerni innych drzew, wzmagając już i tak zabójczo
piękny efekt szadzi. Pomyślałem: kurcze, ta polanka jest magiczna. Tak blisko miasta i
taka piękna. Trzeba będzie tu koniecznie latem rozbić relaksujący biwak.

No to stało się – mimochodem podjęliśmy swoje postanowienia noworoczne: ja chciałem
tu wrócić latem z namiotem, a kolega przyrodnik po prostu chciał dojść piechotą do lata.
Czyż takie plany mogłyby się nie spełnić? Zaiste, wyglądały one na banalnie samospelnialne
postanowienia noworoczne. Podjęliśmy je bezwiednie, bo w tamtych czasach mało kto
słyszał o rytuale noworocznych postanowień. Tak czy inaczej, musiały się spełnić na bank.

Zanim opiszę losy tych noworocznych planów muszę wspomnieć, że w owym czasie
znaliśmy się już z kolegą przyrodnikiem jak stare konie. Zaliczyliśmy mnóstwo wspólnych
przyrodniczych eskapad, pełnych niezwykłych przeżyć. On mi ujawniał uroki zoologii czy
krajobrazu. Ja jemu – uroki nieba. Mieliśmy za sobą wiele dzikich, niskobudżetowych wy-
praw w góry. Wśród nich okropnie oszczędne wyprawy w Tatry – z forszą niemal odliczoną
na chleb, puszkę turystyczną i jednorazowe wejście do TPN. Wystarczało wejście jednora-
zowe, bo zagadnienie noclegu rozwiązywał niesiony na plecach prosty namiot, nielegalnie
i ryzykownie rozbijany w zakamarkach TPN.⁹ Były też długie wyprawy „dookoła” Zale-
wu Koronowskiego. Te ostatnie w celu zliczania nor zimorodków. Przedzieranie się przez
dziewiczo dzikie chaszcze, gdzie rzucały się na nas wirujące tumany wściekłych komarów,
zapamiętam na wieki. Były piesze wypadki do lasu nocą, piesze wypadki do lasu podczas
porażającej burzy, piesze wypadki do lasu w śniegu, na którym widać różne tropy, pie-
sze wypadki by zobaczyć gniazdującego kruka, piesze wypadki by sfotografować (a raczej
o zgrozo przepłoszyć) gniazdującego orła bielika. Podziemne i naziemne wypadki w celu
zliczania czy obrączkowania nietoperzy, oraz liczne wypadki inne. Były też długie wyprawy
rowerowe w celu zliczania bocianów białych (akcja *Ciconia*), podczas których dowiedziałem
się, że inspekcja obszaru o boku 10 km raz przy razie, tzn. pokonanie rowerem wszelkich
możliwych w nim dróg i ścieżek, to dość wymagające przedsięwzięcie.

Kolega-przyrodnik natomiast dowiadywał się jak piękne są ślady meteorów z roju Per-
seid, oglądane o drugiej nad ranem z obrotowego fotela ustawionego na środku wiśniowego
sadu. Tudzież Perseidy oglądane z polowego łóżka, ustawionego na środku buraczanego
pola. Zachwycała go kometa Hyakutake, której długi warkocz, oglądany z nieoświetlonego
ulicznymi lampami zaścianka, ciągnął się przez ogromny szmat rozgwieżdżonego nieba.

Przyroda dostarczała naprawdę mocnych wrażeń. Była zachwycająco piękna i chcieli-
śmy jej więcej i więcej. Więcej górskich i leśnych wypadów, więcej oslepiających bolidów,
i więcej tajemniczych komet.

Wydawałoby się – nic prostszego: wystarczy wyruszyć na kolejny szlak, czy poczekać
na zbliżenie następnej komety. Nic z tych rzeczy jednak. Życie to seria brutalnych niespod-
zianek. „Życie to opowieść idioty, pełna wrzasku i wściekłości, nic nie znacząca”, jak pisał
wieszcz William. Toteż w dowolnym momencie życia może się zdarzyć cokolwiek dowolnie
paskudnego.

⁹Na takiej wyprawie towarzyszył nam Gitarzysta Naturalny, któremu za kurtkę przeciwdeszczową słu-
żył długi, czarny, foliowy worek na śmieci. Pewnego ranka, gdy spaliśmy pokotem na szlaku, nie rozbiwszy
nawet namiotu, faktycznie obudził nas deszcz, więc Gitarzysta przywdział swój worek. Wypełnione po-
wietrzem narożniki worka utworzyły na jego ramionach śmiesznie sterczące naramienniki, a sam worek,
zwilżony deszczem, lśnił w promieniach przebijającego się słońca jak jakaś rycerska zbroja. Z tak osobliwym
członkiem w ekipie, nasz niskobudżetowy zespół tatrzański wyglądał naprawdę komicznie.

Kolega przyrodnik mieszkał w kanciapie na ostatnim piętrze prawie całkiem opuszczonej kamienicy, niedaleko centrum dużego miasta. Było to formalnie drugie piętro, ale z powodu wysokich sufitów i wysokiego podpiwniczenia, znajdowało się pewnie na wysokości trzeciego piętra współczesnych budynków. Większość mieszkań była pusta, tylko w porze przedpołudniowej na niższych piętrach działało kilka biur partyjnych. Jedyne wejście do budynku znajdowało się od głównej ulicy, w reprezentacyjnej fasadzie budynku. Zamek tych drzwi był bardzo kapryśny i ich otwarcie nie raz wymagało karkołomnego dłubania, wiercenia i świdrowania kluczem, Gdybyż to użytkownicy budynku się zebrali, i postanowili go wymienić, może nie doszłoby do tego, do czego doszło. Obok drzwi znajdowała się zawsze otwarta brama do ciemnej czeluści kamienicznego podwórka na tyłach budynku. Wiemy jakie bywają takie podwórka: głęboka ciemna studnia, zaniedbana, i niebezpieczna dla intruza. Na półpiętrze, pomiędzy piętrem pierwszym, a ostatnim, znajdowała się zwykle otwarta toaleta powszechnego użytku. Jej okna wychodziły na posępne tylne podwórko budynku.

W owym czasie kolega-przyrodnik był studentem, a życie studentów jest ciężkie. Żeby żyć – trzeba było pić. Pewnego razu, wracając w środku nocy z zakrapianej bibki, znowu trafił na niesforny zamek, który nie chciał się otworzyć. Może się nie chciał otworzyć bo kolega nie był trzeźwy, a może dlatego, że był popsuty. A może z obydwu powodów. Żadne dłubanie nie pomagało, czas płynął, senność i pomroczość ogarniała. Spanie w takim stanie na wielkowiejskiej ulicy, na Asfaltowej Matce Ziemi, może być kosztowne (zgodzą się tu czytelnicy, którzy zaliczyli pobyt na izbie wytrzeźwień). Kolega wiedział jednak, że okno w toalecie na półpiętrze zwykle bywa otwarte. Postanowił więc wspiać się po tylnej ścianie budynku i wdostać się do środka przez otwarte okno ubikacji. Przeszedł na tyły kamienicy i począł się wspinać. Z początku szło łatwo, toteż szybko znalazł się na sporej wysokości.

Tutaj losem kolegi zajęła się złośliwa bogini pechowych, lub mało doświadczonych wspinaczy, czyli Bogini Kruszyzna. Kolega znalazł się w locie, z kawłami zmurszałego tynku w rękach. Smyrgnął w dół czarnej czeluści o nieodgadnionej pozycji dna. Spadanie jest szybsze niż myśl, nierzadko szybsze niż trzeźwa myśl, a tutaj spadała myśl udręczona, nieszczęśliwa, studencko pijacza. Kolega przyrodnik upadł na wyprostowane nogi. Zgruchotało mu liczne drobne kości w obydwu stopach, a kości długie obydwu nóg, rozłamały się wzdłużnie pod bardzo małym kątem. Pęknięcia zaczynały się niewiele pod stawem kolanowym i ciągnęły w dół prawie do kostek.

Ból był nie wiem jaki, bo nie mnie to spotkało, ale bym sugerował, że znaczny.

Wystraszone wołanie o pomoc rozległo się z czarnego kamienicznego podwórca, ale pamiętajmy, że była noc, a przechodzień – *Homo sapiens* – nie taki lekkomyślny, żeby wejść w tę czarną czeluść, i dać się na przykład ograbić lub zgwałcić. Można co prawda było gdzieś zadzwonić czy kogoś powiadomić. Komórek wtedy jeszcze nie było, ale sto metrów od kamienicy znajdował się wielki dworzec kolejowy, w którym zapewne ni telefonów, ni służb nie brakło. Ale przecie *Homo sapiens* nie taki znów szczodry, żeby swoje ograniczone zasoby czasowe inwestować w akcję ratowania cudzych genów.

Toteż kolega darł się w niebogłosy, ale nikt nie przychodził. Mijały godziny, noc ciągnęła się w nieskończoność.

Dopiero świtaniem nadeszła pomoc, gdy *Homo sapiens* ośmielony został przez cuda sprawujące światło dnia.

W szpitalu wiertarką przewiercono koledze obydwie kostki i zdeponowano go na łóżku. Był to ważki moment bowiem z tym łóżkiem kolega wszedł w długą, wielomiesięczną, nierozzerwalną symbiozę. Do tkwiących w kostkach metalowych osi przymocowano linki, które biegły ku bloczkom na krawędzi łóżka, a dalej ku ciężarkom o sporej wadze, które miały napinać połamane kulasy kolegi-przyrodnika podczas powolnego zrastania. Kolega stał się więc integralną częścią systemu bloczków i cięgien, niezdolny do większych ruchów i przyspawany do swego łóżka na dobre i złe, na łaskę i niełaskę świeżo młodych i malowniczo starych, miłych i niemiłych pań pielęgniarek.

Tamże, tzn. w specyficznym ekosystemie szpitala, poznał się bardzo dobrze z pewnym kaczorem o nienadanej nazwie rodzajowej i gatunkowej. Pomimo niezastąpionej roli, jaką kaczor ten pełni w szpitalnym ekosystemie, nikt nigdy, po kres czasu nie nada mu nazwy, i nie napisze o nim: „kaczor taki a taki, species et genus nova”.

Złamane gnaty zrastały się powoli. Mijały tygodnie, mijały miesiące. Na niebie pojawiła się kometa, piękna jak nigdy dotąd, z dwoma warkoczami pełnymi uroku.¹⁰ Opisuując warkocz, nie będę tu ściemniał porównaniami do czystych długich włosów uśmiechniętej dziewczyny. Warkocz pyłowy był zawadiacko wygięty pod wpływem bezwładności czy oddziaływań z materią międzyplanetarną. Gazowy zaś strzelał w nieco innym kierunku, tak jak nakazywał mu protonowy wiatr słoneczny. Z ciemnej wsi widok był niezwykły, tak przez lornetkę, jak i gołym okiem. Szpital znajdował się jednak w centrum miasta oświetlonego tysiącem światła, kometa znajdowała się po innej stronie nieba niż okna w sali naszego połamanego, a nawet gdyby znajdowała się po właściwej stronie, okno było dla naszego połamańca niedosiężne, było po prostu za daleko.

Czas mijał. Kometa nadleciała i odpłynęła. Przez kilka dekad, które minęły od tamtego czasu, nie widziałem ładniejszej.

Nadeszło lato. Nadeszło jak zwykle piechotą, w miarę jak Ziemia kroczy piechotą po orbicie. Kolega jednak do lata piechotą nie doszedł. Tkwił w wózku zastanawiając się jak to będzie, gdy po raz pierwszy, opuszczając swe ciało z trzymanego rękami drążka, obciążony na krótką sekundę swoje od miesięcy nieużywane, zmaltretowane nogi. Ponoć ta pierwsza sekunda to zgrzyt zgrozy.

Plany noworoczne kolegi-przyrodnika nie spełniły się więc. I nie wyglądało na to, żeby w najbliższych latach kolega miał ze mną pieszo przemierzać bezkresne górskie czy leśne przestrzenie.

Tego było już za wiele. Postanowiłem, że „pomszczę” zły los, i swoje postanowienie noworoczne zrealizuję z nawiązką: na brzozonej polance zapomnę o świecie – będę pił, śnił, fotografował rośliny, zwierzaki, wyluzuję się za niego i za siebie.

Zanim jednak pojawiłem się na owej „polance” z namiotem na plecach, trafiłem na nią podczas przypadkowego rekonesansu po Grabinie. Napatoczyłem się na nią krótko po deszczowym sezonie. Tfu! Co za zgroza! „Polanka” okazała się płaską łachą szarej, sraczkowatej, brudnej gliny wyściełającej całą niezadrzewioną przestrzeń od krańca do krańca. Z rozpędu wkroczyłem na nią, wierzgając stopami w okropnej ślizgawicy, w sekundę oblepiwszy się i usmarowawszy obrzydliwą mazią po kolana. Widok przypominał zdegradowany krajobraz pofabryczny: sraczkowata martwa tafla przybrudzona plamami jakichś czarniawych wychodni węgla, resztki jakichś ognisk, w których tkwiły śmieci. Czar prysł zupełnie, i nie uratował go krąg pięknych brzoź. Ów sylwestrowy śnieg ukrył brzydotę gruntu, upiększając jednocześnie drzewa, i całkowicie zafałszował prawdziwy, tzn. letni charakter owej

¹⁰Kometa Hale-Bopp.

„polanki”, a właściwie glińskiej wyspy. O biwakowaniu tam nie było już mowy.

Choć staram się nie dzielić bezmyślnie utartych poglądów, zrozumiałem w końcu, że postanowienia noworoczne po prostu się nie spełniają. Dotyczy to wszystkich postanowień bez wyjątku, również tych „samospelniających”.

Od czasu do czasu skamieniałości dawały znać o sobie w najbardziej nieoczekiwany sposób. Swoją trzecią czy czwartą skamielinę znalazłem w warunkach, w których naprawdę nie znajduje się skamieniałości: mianowicie w samym środku miasta, na asfalcie ulicy, szczelnie otoczonej betonowymi płytkami chodników. Była to sporej wielkości, ze trzycentymetrowa, pękata, radialnie pręgowana muszla „małża”. Karbowanie tworzyło ciekawy, drapieźnie wyglądający zygzak na linii styku skorup. Wokół ni śladu odsłoniętego gruntu, ni śladu budowlanych wykopów, ni śladu podsypki skalnego kruszywa – wszędzie asfalt i beton, jak to w mieście. Z nieba spaść nie mogła, podejrzewam więc, że muszla musiała wypaść z ciężarówki transportującej jakiś drobny skalny materiał. I akurat ja ją znalazłem? W samym środku miasta, gdzie mogła się rzucić w oczy tylu innym przechodniom?

Jak w takich warunkach, gdy nawet w asfaltowym mieście przypominają o sobie nęcące fosylia, nie myśleć o paleozwieractwie?

ROZDZIAŁ TRZECI

Wielka Tajemnica Miejsca Pobytu Wapiennych Narzutniaków

Potomstwo to wielki ciężar dla rodziców, ciężar, który taki marzyciel-cwaniaczek jak ja, permanentnie próbuje oczywiście zrzucić na żonę. Żona też *H. sapiens*, więc również stara się scedować przynajmniej część utrapienia na matkę, ojca, teściową – no, na kogo się da. I tu niespodzianka – jej matka, a moja teściowa, pracuje w *cegielni*. Przy cegielni – bloki. W blokach – pracownicy cegielni. A przy blokach – *kopalnia*. Kopalnia gliny oczywiście.

Kopalnia gliny to jedno z najbardziej niedostępnych środowisk w krajobrazie Polski. Kto chodził w raketach śnieżnych, wie o czym mówię. Wody deszczowe niechętnie przesiąkają przez glinę, więc nawet długo po ustąpieniu opadów glina jest mokra, i z każdym krokiem przykleja się coraz to większą „patelnię” do butów, uniemożliwiając chodzenie bez względu na rodzaj obuwia. Kalosze, kamasze, gumki – nic nie pomaga. Trzeba czekać na bardzo długą suszę.

Podczas jednej z takich susz, nieoceniona teściowa zabrała zasmarkane bobasy na spacer. Spacer na kopalni. Po powrocie dzieciaki zwierzyły się, że znalazły skarb.

– Kie gucio przywlekleście, i na jaką cholere? – troskliwie zapytałem.

W odpowiedzi, z ciasnej kieszeni kurtki każde z nich wyjęło garść wprost żałośnie poobtłukiwanych kryształów gipsu. Nie wiedziałem jeszcze wtedy co to znaczy „dwójka w skali Mohsa”. Mimo jednak ich opłakanego stanu, regularność i wielkość niektórych z tych kryształów sprawiła, że wyobraziłem sobie ich oryginalne, tzn. nieobtłuczone piękno.

Wrzuciłem do plecaka rolkę papierowych ręczników oraz kilka foliowych toreb, i pognąłem na kopalnię. Łup przeszedł najśmielsze oczekiwania: sporej wielkości lite monokryształy, różowate gniazda, strzeliste „gwiazdy”, długie sztaby, bryły całych kompleksów

monokryształów, pęki blaszek, a wszystko albo świetliście bezbarwne albo w kolorach żółto-pomarańczowych, seledynowozielonych, brązowych i czarnych. Dżizus! Zbieranie minerałów to wspaniałe zajęcie!

Gdzie jeszcze mogę znaleźć piękne kryształy? Przypomniałem sobie wówczas ową gliniastą polankę w wokółmiejskim parku Grabina. Tę, na której wagarowiczom zdarzało się znajdować blaszki „miki”. Znowu papier i worki, i jeszcze saperka, i w drogę. W jednym miejscu, czarniawym od węgla brunatnego, leżały liczne pomarańczowe łezki kryształów, jakby chłop rolny garścią siew sypnął. Gdy wbijałem saperkę, aż zgrzytało. Spod ziemi wyskakiwały czarne jak smoła brudne bulwy, które dopiero pod strumieniem kranówki zamieniały się w przepiękne gipsowe kryształy. Wskutek wypłukiwania spoiwa część z nich rozpadała się na wiele fragmentów, a ich sklejanie w całość dostarczało niezłej modelarskiej rozrywki.

Tak zostałem raczkującym zbieraczem minerałów. Oraz poszukiwaczem literatury na ich temat. W plejstocęńskich glinach trafiałem jednak wyłącznie na gips i gips, który szybko zaczął się nudzić. Gdzie by tu jeszcze znaleźć kryształy? Poza kopalnią wszędzie jeno gleba i gleba, trawa i trawa. Może na hałdach rolnych kamieni polnych?

Wiem co sobie teraz myślicie: facet łyknął mineralnego bakcyła, i szukając kryształów, przypadkiem trafił na skamieniałości.

Nic z tych rzeczy. Nie aż tak łatwo ze skamielinami. Nie każdy jest Robertem Borzęckim, co to wychodzi z młotkiem po pirynt, a przynosi dinozaury.

Otóż na pierwszej hałdzie polnych kamieni, ani na jotę większego kryształka i ani jednej skamieliny. Ani nawet ździebka kamyka pochodzenia osadowego. Potwierdziło się to, co zawsze wiedziałem: narzutniaki są magmowe, jałowe i nieciekawe. Zawartość większych monokryształów: sztuk zero. Kompletne zero.

Druga hałda okazała się kupką gnoju. Cóż, wzrok już nie ten, a i przy dobrym wzroku trudno rozróżnić z daleka...

Trzecia hałda okazała się kopcem wypełnionych czymś, małych, płóciennych worków. Worki z piaskiem?

Czwarta hałda – prawie sam gruz. Tynk i zaschnięte ośrodki worków cementu. Świetnie udające wapienie. I znowu przekłete granitoidy.

Po drodze do hałdy piątej, na skraju pola, kamień cosik pomiędzy wapieniem a piaskowcem. Ale jałowy. Na hałdzie – głównie magmowe skały. Bez większych kryształów. Wapniaki, czy może margle, jałowe jak czcza gadanina.

Dosyć tego.

Ta wiejska podwórkowa ferajna, która trzydzieści lat temu opiniowała rzekomy tyłek trylobita, wiedziała o czym mówi – skamieliny można spotkać tylko w muzeum. Odpuściłem, postanawiając zagłębić się w geotematyczną literaturę. Zdecydowałem, że nie będę się już ośmieszał poszukiwaniem skamieniałości i skupiłem się raczej na minerałach i kryształach. Wytargałem zakurzony karton pełen nigdy nie czytanych, pożółkłych już książek, kupionych głównie dlatego, że pojawiły się w sklepie. Znalazłem tam geohity PRL-u, np. „Podstawy geologii”, jakichś dwóch autorek o w sumie czterech nazwiskach, „Z geologią za pan brat” Kozłowskiego i Speczika, oraz inne pozycje. Po prostu – było co studiować. Czas leciał. Mijały, dni tygodnie i miesiące.

Geologia jest jednak ciekawą dziedziną. Gdy już czytasz – czytasz wszystko. Również o typach skał, nie wyłączając osadowych, i ich pochodzeniu.

I tak, panie Radlicz-Rühlowa oraz Wiśniewska-Żelichowska, w rozdziale o transportujących właściwościach łądolodu, miały czelność stwierdzić, że narzutniaki to „w olbrzymiej większości granity, *lecz nie brak i innych skal.*”

– Phi – pomyślałem – farmazony. Niech wyjdą na pole i się rozejrzą.

Znowuż w innej książce, podpis pod rysunkiem głosił coś wprost niebywałego: „zwierz taki a taki, sylur, okaz z wapiennego głazu narzutowego”. Pomyślałem:

– DUBY SMALONE. Niby taki robił w najzwyczajniejszym, polnym kamieniu?

I tak by się ciągnęło me niedowierzanie, być może przez następne trzydzieści lat, gdyby nie dziwny splot okoliczności, za sprawą których spadł na mnie grad skamieniałości – w prezencie.

Otóż żona ma koleżankę, a koleżanka męża. A mąż ma kochankę. O imieniu Jolka. Jolka jest urządzeniem – wykrywaczem metali. Z grubsza takim, co to saperzy w „Czterech pancernych” miny wykrywali, tylko bardziej wypasionym. Mąż koleżanki, nazwijmy go Kolegą Numizmatykiem, albo może krócej – Chłopakiem Jolki – pasjami wymyka się z domu i błąka się z Jolką po polach, dłubiąc saperką dołki, kiedy tylko Jolka cokolwiek piśnie. A Jolka piszczy zawsze, gdy jej kochanek-operator przesmyrgnie ją nad monetą z metalu kolorowego. Jolka popiskuje również na wszelkie inne przedmioty z metali kolorowych, np. guziki, łuski pocisków, sprzączki, breloczki, ołowiane kulki z dwururki, kapsle od PRL-owskich butelek mleka, aluminiowane opakowania po kondomach, i wiele innych. Chłopaka Jolki zawzięcie interesują jedynie monety, i to te rarytaśne. Wskutek ustawicznej, przygruntowej aktywności eksploracyjno-odkrywczej, zmysł Chłopaka Jolki stał się szczególnie predestynowany do wypatrywania osobliwych przedmiotów, wzorów, czy form.

Być może myślicie tu sobie, że Chłopak Jolki uzbierał pokaźną kolekcję fosyliów, przy okazji polowań na monety. Nic z tych rzeczy. Chłopak Jolki skamieniałości ignoruje, tak jak ignoruje je jego niewrażliwa na skały Jolka. Przedreptawszy po polach i nieużytkach tysiące kilometrów, nie znalazł ani jednego fosylium. Ale Chłopak nie ignoruje ich celowo. Po prostu żelastwo jest częstsze od fosyliów i jest sygnalizowane przez Jolkę, dlatego staje się priorytetem poszukiwań. Gdyby jednak oddzielić Chłopaka (siłą) od Jolki, i umieścić wśród gęściej występujących skamieniałości, z pewnością jego umysł szybko i bezwiednie przestawiłby się na odszukiwanie fosyliów. Jakże miałyby do tego dojść?

Jakoś jednak doszło, o czym dowiedziałem się podczas pewnej bibki u Chłopaka Jolki. W owym czasie chyba już straciłem nadzieję na rzekome występowanie narzutniakowych skamieniałości na terenie Rzeczypospolitej. Po n-tym piwie, a dla niektórych – kieliszku, i po n-tym do kwadratu papierosie, gdy trochę już w głowach kurzyło, Chłopak Jolki ni z tego ni z owego zapytał:

– Skamieniałości nie chcesz? Bo mam trochę – nazbierałem. Chciałem dać nauczycielce biologii, ale...

Bez jaj. Opadła mi szczeka. Chłopak Jolki, nic nie wiedząc o moich paleociągatkach, zupełnym przypadkiem oferował mi worek skamielin, które ja od lat bezskutecznie próbuję zlokalizować w okolicy i pozyskać. Na stole przede mną wyrósł stosik skamielin, chyba z ćwierć reklamówki. Byłem tylko trochę podchmielony, ale zaskoczony tak, że nie dosłyszałem dlaczego Chłopak Jolki wątpił w sens przekazania ich Pani-Od-Biologii. W swoich czytelnicznych studiach tak bardzo skupiłem się na minerałach, że o skamieniałościach nie wiedziałem zupełnie nic. Były to z pewnością autentyczne skamieliny, ale zupełnie dla mnie niezrozumiałe. Jedne przypominały pumeks, ale o regularnych dziurkach, inne – podsuszony w durszlaku, zbite w bryłę spaghetti. Były też jakby pręgowane odwłoki szerszeni, z małym kółkiem na ich poprzecznym przekroju. Zidentyfikować umiałem jedynie „małże”,

które wkrótce okazały się nie być małżami, oraz „kości”, które rychło okazały się nie być kośćmi.

No dobra. Pierwsze pytanie:

– Gdzieś ty to znalazł, do jasnej cholery?

– Eeee, nieważne. Polejmy lepiej kolejną kolejeczkę.

– No ale powiedz – gdzie? Szukam takich kamolców od dawna. Z mizernym skutkiem. Znalazłem trzy sztuki przez trzydzieści lat. Długo Ci zabrało uzbieranie takiej kolekcji?

– Bo ja wiem? Krótko. Pół godziny? Godzinę? Dwie godziny?

– Żartujesz? Pełne garście skamielin w pół godziny? Gdzie to było?

– Nieważne. I tak już nic tam nie znajdziesz. Wszystko wybierałem.

– No dobra. Ale w jakiego rodzaju terenie? Żwirownia? Skarpa wiślana?

– A nieee. W sklepie. Gdzie indziej. Pielilem. Nieważne. Kolejeczka.

No to kolejeczka. I większy zmysłów szmerek. Rozmowa na takich imprezach meandruje dowolnie: a to jakiś żarcik sprośny, a to coś głupiego ktoś powie. Toteż szybko oddryfowała od skamielin. Kolejeczka. Papierosik. A gęby wszystkich coraz mniej wyraźne. Czy to moja głowa czyni gęby mniej wyraźne, czy to same gęby, im głębiej w noc, coraz mniej i mniej wyraźne?

Następnego dnia, już u siebie, powoli doszedłem do siebie i wnet sobie uświadomiłem, że teraz dopiero kwestia skamielin stała się jeszcze bardziej zagadkowa. Na stole przede mną leżał przywieziony z imprezki woreczek fosyliów, które znajomy z niedalekiej wsi nazywał w krótkim czasie i jakby od niechcenia. Woreczek był niezbitym dowodem na to, że wczorajsza rozmowa nie była pijackim przywidzeniem, i że *da się* to zrobić: da się uzbierać fosyliów na naszym okołobydgoskim południowym Pomorzu. Na naszym pieprzonym kujawskim Pomorzu, na którym, nie licząc smukłych nóg wystawionych spod mini spódniczek, brak jakichkolwiek, wartych uwagi *odslonieć*.

Ale zaraz... czy on powiedział: „pielilem”?

Też pielilem. I to nie raz. Jako wsiowy dzieciok małorolny pielilem wsio co trza było: truskawki, pyry, co tam jeszcze. Ale żeby pieląc trafić na skamieliny? I to w takiej ilości? Coś tu się mocno nie chce zgadzać...

Obok woreczka pełnego zagadkowych skamielin, stał sobie laptop. Laptop to taka maszyna do gwałtownego poszerzania własnej wiedzy. Jakie słowa wpisać w okienko wyszukiwarki? „Skamieniałości podobne do odwłoków szerszeni”? „Kamienie polne”? „Narzutniaki”? „Forum Paleo”? A może „Paleo beznadziejja”?

Wpisałem wszystko to, i jeszcze więcej. Szybko okazało się, że „odwłoki szerszeni” to niewłaściwe słowo. Na każde bowiem słowo ignoranta, paleontolodzy mają stosowne paleosłowa, których naukę właśnie bezwiednie wszcząłem. I tak odwłok szerszenia stał się dla mnie FRA-GMO-KON-em. Podsuszone spaghetti – FA-VO-ZY-tami. Regularny pumeks – TA-BU-LA-tami, w szczególności HE-LIO-LI-TY-dami. I tak dalej. OK – jest to pewien postęp, ale gdzie te diabelstwa znaleźć?

Tak jak w poźółkłych PRL-owskich podręcznikach geologii, tak i na Polskim Forum Sympatyków Paleontologii, znowu znalazłem zdjęcia ciekawych stworów z podpisem: „okaz z narzutniaka, wioska taka a taka”.

Natomiast na Pierwszym Portalu Rolnym ktoś nieco historycznie się zwierzał:

Witam. Mam 7 ha pola w bardzo słabej klasie, czyli VI. Odkąd kupiłem 12 lat temu, walczę z kamieniami. Nie są to otoczaki, tylko kamienie z ostrymi krawędziami, trochę

krzemieniaste, niektóre ważą nawet 70 kg. Co roku zbierane i co roku na nowo są? Skąd się to k...stwo bierze? Macie jakieś pomysły na ten temat?

Hmm... Pomysł jest taki, że to Zemsta Wikingów, proszę pana. Nieustająca Kłątwa Fennoskandii.

W głowie jednocześnie dźwięczały mi następujące strzępy informacji: „materiał moreny czołowej z głazami narzutowymi”, „w olbrzymiej większości granity, *lecz nie brak i innych skał*”, „co roku na nowo są?”, „okaz z polnego narzutniaka”.

Tego było już za wiele. Ubrałem się w brudne ciuchy, chwyciłem kluczyki od auta i postanowiłem sprawdzić jeszcze raz, ale tym razem po raz naprawdę ostatni.

Wielka piramida kamieni polnych w samym centrum pobliskiej wsi, z daleka zniechęcała swoją oczywistą granitowością. Ale niedaleko jej wierzchołka wygrzebałem z niej niewielki kremowóżłtawy kamyk, w którym tkwił strzelisty przekrój ślimaka pokroju wieżyczki. Wnęki zwojów trochę wyerodowały nadając mu miłą oku trójwymiarowość, a cięcie przekroju przypadkiem biegło prawie idealnie przez oś spirali, nadając jej długi i strzelisty, efektowny wygląd. *Cholera, całkiem ładny skamieniały ślimak na prozaicznej hałdzie zwykłych polnych kamieni!*

Na wylocie z tejże samej wsi, na skraju pola wzdłuż drogi ciągnęła się niewysoka grobla kamieni polnych. Gospodarz po przeciwnej stronie przerzucał gnój. Zaparkowałem w pewnej odległości od hałdy, żeby nie sprawiać wrażenia, że chcę załadować kamieniami pełen bagażnik. Psy szczekały, jakby chciały zabić mnie dźwiękiem, a uzbrojony w widły gospodarz kontrolował me poczynania czujnym wzrokiem.

Na tej niewielkiej hałdce trafiło się kilka fosyliów, między innymi pięknie oderodowana mieszanka różności, głównie pękatych ramienionogów, przyozdobiona – a niech mnie gwóździ! – pygidium trylobita. Przez pygidium niestety przeszło jakieś dewastujące ostrze narzędzia rolniczego, ale i tak widok był ciekawy. Inny kamyk był grudką favozytydowego spaghetti.

Niewiarygodne! Hałdka mniejsza, a fosyliów aż kilka! Suche zdjęcia z podręczników stały się namacalnym faktem. Książkowe słowo stało się ciałem.

W następnych dniach zasięgnąłem wiedzy u lokalnych języków, na temat lokalizacji okolicznych hałdek, i w try miga ich eksploracja potwierdziła oczekiwania: skały osadowe zawierające skamieniałości zdarzają się wśród polnych narzutniaków. Jeśli ich nie znalazłeś – uzbrój się w cierpliwość i postaraj się bardziej: zwiększ zasięg, pojedź w przeciwnym kierunku, poproś rolnika, aby cię wpuścił za stodołę.

W kolejnych tygodniach, moje poglądy na temat dostępności skamielin w nizinnej Polsce uległy całkowitemu wywróceniu do góry nogami.

Wracając piechotą z polnej hałdy, i uginając się pod ciężarem tkwiących w plecaku znalezisk, znalazłem fragmokon łodzиковatego ot tak na polnej drodze. Gdy w aucie kończyło się paliwo, tankując na stacji w wielkim mieście, wypatrzyłem fragmokon na okolonej wysokim krawężnikiem wysepce drogowej, wysypanej drobnym tłuczniem nieznanego pochodzenia. Po drodze ze wsi do wsi trafiła się żwirownia, a w niej kawałek piaskowca z odciskiem sporej wielkości glabelli trylobita. Inne okazy wyszperałem na torowisku nieczynnej stacji kolejowej. Jeszcze innym razem na poboczu drogi wzmocnionej tłuczniem. Ba, nawet w ścieku z pobliskiego przedsiębiorstwa, w ścieku, który spływa poprzez nasz piękny park, a któremu zdarzyło się przeciąć „żyłę” węgla brunatnego, udało mi się znaleźć kawałek skamieniałego drewna.

Wielka tajemnica pobytu skamielin wyjaśniła się. Gdzie występują skamieniałości? Na rolniczych hałdach, polach, polnych drogach, poboczach, żwirowniach, torowiskach, w strumykach... Ba, nawet w centrach miast, na miejskich wysepkach drogowych, stacjach benzynowych, parkingach i innych miejscach wysypanych skalnym tłuczniem. Kurcze, można wręcz powiedzieć, że niemal *wszędzie!*

To ci dopiero. Wiedziałem, że nigdzie, a teraz wiem, że wszędzie!

Summa summarum, paleozbieractwo okazało się podobne do miłośniczej astronomii. Dopóki się mu nie przyjrzyysz baczniej – na niebie nic się nie dzieje. Nie ma na nim komet, bolidów, tranzytów słonecznych, zakryć planet przez Księżyc. Dla tych, którzy nie patrzą, wszystko to nie istnieje. Podobnie jest z kamieniami. Dopóki się im nie przyjrzyysz, są to co najwyżej obiekty, o które można się potknąć, lub od niechcenia kopnąć na spacerze. Odrobina ciekawości i cierpliwej chęci zmienia wszystko. Kamienie stają się fascynującym światem kryształów czy obłądnym portretem historii życia.

Ale ale, Wielka Tajemnica została już rozwiązana, lecz co począć z małym sekretem małomównego Chłopaka Jolki? Jakże mógł on łączyć worek skamielin podczas krótkiego epizodu pielienia? Trafił na wychodnię paleorafową na grządce kwiatowej gleby?

Owszem, Chłopak Jolki pracuje w Wielkim Sklepie Ogrodniczym, gdzie terminy takie jak gleba, grządka i pielienie, to codzienność. Pracuje na namacalnie użytecznym stanowisku Przynieś-Podaj-Pozamiataj. Jest to stanowisko, o którym marzy niejeden profesor astrofizyki czy paleontologii, szczególnie w swoich naukowo bezpłodnych okresach, gdy nęka ich niemoc twórcza i gryzie sumienie. Oprócz przynoszenia i podawania, czasami przychodzi też coś wypielić. A co wypielić?

Otóż wielki sklep ma wielkie parkingi, wielkie wysepki chodnikowo-drogowe, długie, wijące się spacerowe ścieżki ogrodowe, a wszystko to wysypane tłuczniem pochodzenia konkretnie niewiadomego, ale zapewne z jakichś „kopalń kruszywa naturalnego”. A że wszystkie te poletka kruszywa są pod gołym niebem, to zarastają chwastem, bowiem chwast rośnie wszędzie, nawet na skalnej grzędzie. Ot i cała tajemnica. W ramach swoich zadań pracowniczych, kolega pieliał wokółsklepowe połączenie usypane kruszywem skalnym nieznanego pochodzenia. Ale z pewnością pochodzenia obficie wapiennego. Co pół metra trafiała mu się jakaś gąbka („kość”), ramienionóg („małż”), czy inne dziwadło. Piszcząca Jolka cierpliwie czekała w domu, na powrót kochanka z pracy, a on w pół godziny napełnił kieszenie.

A więc, o ironio, worek skamieniałości ze sklepu ogrodniczego, który pośrednio sprawił, że odkryłem Miejsce Pobytu Wapiennych Narzutniaków, wcale nie musiał być pochodzenia narzutniakowego.

Zamiast rozdziału o trylobitach

Chciałoby się napisać rozdział o trylobitach. Ale tyle już o nich napisano, że zamiast rozdziału – krótka trylobitowa dygresja.

Każdy handlarz skamielin wam to powie: najlepiej sprzedają się amonity, szczególnie ładnie spirytyzowane lub inaczej ubarwione narośniętymi minerałami. A trylobity dopiero po amonitach. My jednak – narzutniakowi paleozbieracze nizinnopolscy, któreśmy w życiu nie widzieli z bliska amonita – mamy odmienne zdanie: najbardziej fascynujące są trylobity. Oferują bowiem większą różnorodność dziwnych form. Ich glabelle czy cefalony wyglądają niczym mordy kałamarnic, czy głowy obcych z pokładu *Nostromo*.

Nie wszyscy jednak mają takie skojarzenia. Długodystansowe dojeżdżanie od cycka żony do pracy, otwiera niesamowite możliwości samoedukacji, bowiem autobusy wloką się mozolnie, i nie pozostaje nic innego, jak czytać. Czytać o fosyliach oczywiście.

Jadąc autobusem, kiedy tylko otworzę ilustrowany „Atlas do oznaczania rzędów trylobitów”, plotkujące pasażerki na siedzeniu za mną, zaczynają natychmiast rozmawiać o karaluchach. Ha! A więc trylobity, to morskie karaluchy sprzed pół miliarda lat. Oj nie wiem, czy marokańscy fałszerze trylobitów już wpadli na ten pomysł, podsunęty przez polskie dziewczyny, aby tryle podrabiać, tudzież ich nowe gatunki tworzyć, przy pomocy pancerzy karaluchów...

Kryształowe oczy trylobitów to arcydzieło dostosowania. Dobór naturalny nadał ich soczewkom asferyczny kształt, korygujący aberrację sferyczną. Siedemnastowieczni optycy musieli trochę pogłówkować, aby kształt ów wymyśleć i zmanufakturować.

Wbrew pozorom delikatny ów instrument, czyli oczy trylobitów, to dość pospolite skamieniałości. Są bowiem małe i charakterystyczne. Dzięki maleńkości – jest duża szansa, że przetrwają nierozczłonkowane na jednym narzutniaku. Małe skamieliny często unikają rozparcelowania, które zwykle się przydarza większym narzutniakowym skamieniałościom. Jeden kawałek, powiedzmy cefalon, takiego dajmy na to trylobita *Asaphus*, znajduje Adam w Ustce, drugi kawałek – pygidium – Jarek w Koronowie, a trzeci – garść tergitów – Jan spod Poznania.

Ale co tam – dzięki specyficznemu wyglądowi trylobicich oczu, nawet ich rozczłonkowanie nie bardzo przeszkadza. Fasetki trylich oczu ułożone są w rzędach, przesuniętych względem siebie by zmaksymalizować upakowanie przestrzenne. Daje to bardzo regularny wzór sześciokątnej siatki, z sześcioma soczewkami otaczającymi centralną. Dzięki takiej sygnaturze, łatwo można rozpoznać nawet małe fragmenty oka, i to nawet gdy są pozbawione całej reszty ciała. Rzecz by wówczas można, że to same *kamienie mają oczy*. Oczywiście, towarzystwo fragmentów pancerzy tryli pomaga wykluczyć inne stawonogi.

Zdarzają się i cefalony z oczami. Szczególnie fakopidów takich jak *Phacops* czy *Dalmanites*. Mają one oczy schizochroalne, tj. oczy o niezbyt wielkiej liczbie dużych soczewek, rozdzielonych grubą warstwą sklery, czyli materiałem egzoszkieletu.

Jak to jest spojrzeć w oczy z głębin czasu? Ano tak:

Nareszcie, znalazłem trylobita. Skala po prostu oddzieliła się od zwierzęcia, niczym jakiś rodzaj objawienia. Trzymałem przed sobą dwa kawałki skały – a jakbym trzymał podręcznik, który ożył. Długie, wąskie oczy trylobita zerknęły na mnie, a ja odwzajemniłem spojrzenie. Bardziej przekonująco niż jakakolwiek para błękitnych oczu, wywołały dreszcz zapoznania

się poprzez 500 milionów lat.¹¹

ROZDZIAŁ CZWARTY

O przydatności rozwodowej skamielin polnych

Staliśmy z Rychem przed wejściem do firmy, ściągnę papierochy. Rozmowa nie pierwszy raz zeszła na samochody – ich kupowanie, sprzedawanie i naprawianie. Wspomniałem więc, że muszę wymienić przedni zderzak i dolny grill w moim prozaicznym, całkowicie nieterenowym aucie.

– Docierałem do dobrze mi znanej żwirowni, jak zwykle rozpędziwszy się by pokonać piach na drodze, a tu niespodzianka – buldożery wycisnęły głębokie na trzy czwarte metra koleiny i wysokie fałdy, w które się wbiłem dziobem auta. Trza było wycofać i iść pieszo.

– A czegoś ty szukał swoją skodziną na żwirowni?

– Wiesz, bo ja od niedawna mam totalnego fioła na punkcie skamieniałości.

Krótką pauza.

– No a żona co na to, że masz takie niemęskie hobby? Nie wołałaby, żebyś za dziewczynami biegał na przykład?

Krótką pauza.

– Wołałaby.

Drogi Panie! – zwrócę się teraz wprost do piękniejszej części rodzaju *Homo* – tej, która nadaje pozorny sens naszej samczej ziemskiej egzystencji. Gdy tylko wasz mąż położy na stole swój pierwszy kamyk fosylny, natychmiast powinniście wszcząć procedurę rozwodową. Jeśli bowiem tego nie uczynicie, szybko znajdziecie się w sytuacji, że wchodząc do jadalni z talerzem gorącego rosółu, nie będziecie miały gdzie go postawić, ponieważ cały stół zawalony zostanie hałdą obrzydliwych, szarych kamieni.

Czy przesadzam? Czy rzutuję swoje własne problemy na inne osoby?

Nie wydaje mi się. Taki na przykład Riccardo Levi-Setti, w książce „The trilobite book. A visual journey.” umieszcza podziękowania dla swojej żony o imieniu Nika. A w podziękowaniach tych stoi jak byk, że dziękuje żonie, ponieważ „nie protestując, pozwoliła mi wypełnić każdą dostępną przestrzeń w naszym domu trylobitami.”

Co gorsza, jeśli mieszkacie nie w domu, ale w mieszkaniu pozbawionym pomieszczeń warsztatowych, szybko będziecie musiały się zmierzyć z wszędobylskimi odłamkami skalnymi, oraz pyłem, uwalnianymi podczas zażartej preparacji okazów.

Cóż jednak zrobić, jeśli mąż, co prawda odstawiony od cycka, ale jednak radośnie pasyżujący na waszych talentach kulinarnych i pralniczych, nie chce odejść?

Normalnie, przydają się wówczas jakieś dowody nieprzydatności do małżeńskiego pożycia. Np. dowody jego pijaństwa lub nie daj boże (czy może daj boże?) jego niedelikatnej ingerencji w wasz ustrój cielesny. Co jednak zrobić gdy wasz mąż, na przykład z powodów zdrowotnych, nie pije i nie bije?

¹¹Richard Fortey, „Trilobite: Eyewitness to Evolution”

Z pomocą przyjść wówczas mogą same skamieliny – te same, które powodem rozvodu się stały.

Mąż fosylny bowiem, szybko zatraci się całkowicie w swej pasji, segregując i mikroskopowo oglądając swoje kamyki. Zatraci się również w wielogodzinnej preparacji skamielin, trwającej do białego rana. Gdy tylko hobby wysączy zeń siły, gdy tylko zabraknie mu pa-ry by trzymać fason, wystarczy mu pstryknąć fotkę – koronny dowód na to, że jest on niezdolny nie tylko do pożycia, ale i wręcz do zwyczajnego życia.

Instruktażowy przykład takiej fotografii przedstawia Rys. 1, na którym autor, po całonocnej preparacji metodą odkuwania, zasnął nad ranem podczas segregowania swoich marnych okazów. Fotografia przedstawia osobnika w widoczny sposób żałosnego, który zasnął na podłodze, czyli tak jak siedział podczas segregacji. W łapskach ciągle dzierży swoje przekłete, zawinięte w papier kamyki, których cały karton od butów stoi obok. Podkreślny, że truteń ten zasnął nie wypróżniwszy się wieczornie, nie rozebrawszy się, nie umywszy zębów... Co tu gadać. Taka fotografia powinna w zupełności wystarczyć, żeby się chyżo rozwieść i żeby było pozamiatane.

Tak, że Drogie Panie, głowa do góry! Trzeba tylko przyfilować moment i mieć pod ręką komórkę, która pstryka fotki. Pasożytującego fosylarza można wykończyć jego własną bronią, czyli fosyliami właśnie!



Rysunek 1: Zdradziecko wykonana przez żonę fotografia autora, który zasnął w biały dzień podczas segregacji skamielin, po ciężkiej całonocnej ekskawacji metodą odkuwania. Osobnik na zdjęciu uchwycony został w lokalizacji *in situ* i w sytuacji *in vivo*. Jak widać, pomimo snu w pozycji przyżyciowej (ang. *life position*), autor ciągle dzierży w garści swoje cenne zawiniątka, czyli owinięte w papier toaletowy skamielinki. Obok kartonik po butach pełen igraszek natury. Takie zdjęcie to doskonały materiał dowodowy w sprawie rozwodowej, powiedzmy, „Nowak przeciw Nowak.” Fotografia wykonana komóreczką żony, marki Nokia.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Polowanie na konodonta

Ci z Czytelników, którzy mieli okazję polować na kurdla, wiedzą, że do polowania niezbędne są: pasta podkładowa, sos grzybowy, szczypiorek, sól i pieprz (to w fazie wstępnej) oraz

miotelka ryżowa i bomba zegarowa (w fazie właściwej).¹² Zasadzając się na konodonta potrzebujemy zupełnie innego ekwipunku. Niemniej jednak, tak jak w przypadku kurdla, konodont jako zwierzyna łowna stawia najwyższe wymagania tak walorom osobistym, jak i sprzętowi myśliwego-paleofascynata.

Zgromadzenie potrzebnego sprzętu może sprawiać pewien problem, zwłaszcza samotnym paleomiłośnikom płci męskiej. Doprawdy trudno o tym pisać, ponieważ wśród czytelników mogą znaleźć się osoby przyzwoite, wrażliwe, czy też po prostu osoby o selektywnej tolerancji na orientację płciową.

Tak czy inaczej, do polowania przydają się damskie rajstopy. W sklepie z galanterią damską my – samczyki z rodzaju *Homo* – czujemy się trochę nieswojo, niczym wtedy, gdy po raz pierwszy w życiu prosiliśmy w kiosku o kondoma. Kupno jest trudne, bowiem sprzedawczyni może zadać pytania o to *jakie* rajstopy życzymy sobie. Pytanie takowe, oraz towarzyszące mu ironicznie-pytające spojrzenie możemy zbyć żartem, że planujemy nocny napad na pobliski sklep monopolowy i wystarczą nam dowolne rajstopy pasujące na naszą głowę. Taka odpowiedź jednak nie przekona zazwyczaj nieźle życiowo oblatanej Pani Ekspedientki. Może zacząć nas podejrzewać. Będąc spadkobiercą kultury środkowoeuropejskiej, nie napiszę o co. Aby tego uniknąć, możemy jej odpowiedzieć, na przykład: „czwórki, cienkie, białe, gładkie, bez lajkry, bez klina”. Brzmi to trochę zagadkowo, ale ponieważ rajstopy posłużą nam do odsiewania mikroskamielin od matriksu, niektóre z tych parametrów są istotne. Na przykład, nie mogą być zbyt grube, bo szlam matriksowy nie przeleci przez nasze sito. Na konodonta najlepsze 20 DEN. Chyba. Wiele skamielin, które przetrwają na naszym sitku ma kolor beżowy, dlatego stanowczo odmawiamy zakupu rajstop w kolorze cielistym. Wzorek na rajstopach utrudni wypatrywanie i oddzielanie fosyliów, więc wybieramy gładkie. Wreszcie, o ile rajstop tych nie zamierzamy samemu ubierać, nie ma znaczenia czy są z lajką, klinem, czy czym tam jeszcze. Jak widać, zakup to dość odważny krok. Kto jednak pragnie upolować konodonta – musi się przełamać.

Kolejnym elementem ekwipunku jest kawałek firanki. Nie jest to element niezbędny. Używają go łowcy, którzy chcą mieć na gotowo oddzieloną frakcję grubą fosyliów. Trzeba się odważyć i wejść do sklepu z napisem „Tekstylija”. Faceci, którzy nie zajmują się zawodowo krawiectwem, i którzy nigdy nie byli w polskim sklepie z tkaninami, mogą się w nim poczuć jak na tureckim bazarze: w środku – biel, faktur i barw bez liku. W zakupie pomoże nam Pani Ekspedientka, która swym pytającym wzrokiem wnet dostrzeże nasze bezradne zagubienie, czy niezdecydowanie. Na nasze „grube sito” najlepiej nadają się firanki o jednorodnej fakturze, o dużych, około dwumilimetrowych oczkach. W przeciwieństwie do zakupu pończoch, możemy sobie tutaj pozwolić na bezpośrednie oględziny kupowanego materiału, a nawet jego *dotknięcie*. Potrzebujemy mały kawałek firanki – trochę większy od naczynia, w którym rozpuścimy nasz kamień, ale sprzedawczyni będzie weselsza, jeśli kupimy okrągłą ilość, np. metr.

Następna część wyposażenia to naczynie – pojemnik na rozpuszczalnik. Idziemy do spożywczaka i kupujemy plastikowy, półkilogramowy pojemnik wypełniony naszym ulubionym, np. śmietankowym lodem. Loda zjadamy, nie wyrzucamy pudełka.

Wreszcie – rozpuszczalnik, czyli dziesięcioprocentowy roztwór kwasu octowego, zwany octem. Ktokolwiek wynalazł nylonowe damskie rajstopy, wybrał na nie surowiec, który tak jak zęby konodonta, nie rozpuszcza się w occie. Wytrzymają więc cykl wielokrotnego zalewania kwasem octowym. I podobnie firanka.

¹²Patrz: I. Tichy, *Dzienniki Gwiazdowe*, Podróż czternasta.

Po nasz rozpuszczalnik udajemy się do spożywczaka. Ładujemy do plecaka wszystkie wystawione na sprzedaż butelki octu (czyli kilka - naście). Na wypadek pojawienia się jakiejś gospodyni w potrzebie, odkładamy z powrotem na półkę jedną butelkę. Na komentarz kasjerki, że „w takich ilościach ocet żre i szkodzi”, odpowiadamy: „i o to chodzi”.

Tak jak łowy na kurdla, polowanie na konodonta składa się z fazy wstępnej, oraz fazy właściwej. W przeciwieństwie do łowienia kurdla, połowy konodontów przebiegają bezkrwawo.

Najpierw wybieramy narzutniaka, którego chcemy rozpuścić. Jeśli jesteśmy już wtajemniczeni w arkana podwórkowej paleontologii, narzutniaki znajdziemy w następujących miejscach: na półkach, na parapetach, pod stołem, pod łóżkiem, pod kaloryferami, oraz pod wanną. Być może też w kilku innych miejscach, np. pod tymi krzesłami, które rzadziej przestawiamy. Pamiętajmy o tym, aby nie przechowywać narzutniaków w tapczanach, bowiem zawsze się to kończy zarwaniem ich dyktowego dna. Wybieramy mało efektowny okaz wapienny. Jako, że większość naszych skamielin jest kalcytowa, rozpuszczają się one razem z matriksem, dlatego do rozpuszczania nie wybieramy kamyka z naszym ulubionym trylobitem.¹³

Apatia to zmniejszona wrażliwość na bodźce. Zębiszcza konodontów są zbudowane z fosforanu wapnia, który na ocet reaguje wyjątkowo apatycznie, tzn. prawie nie rozpuszcza się. Z powodu tej apatyczności, konodontowy surowiec zębowy pozwolimy sobie nazwać *apatytem*. Dlaczego zamiana węgla (w węglanie wapnia) na fosfor, z paroma dodatkowymi, acz z pozoru kosmetycznymi zmianami, skutkuje znaczną odpornością na ocet? Ech, gdybyśmy to się wsłuchiwali (a nie wyłącznie wpatrywali) w naszą Panią-Od-Chemii...

Tak czy inaczej, zębiszcza przedpotopowych stworów prawie nie rozpuszczają się w occie, więc faza wstępna polowania na konodonta przebiega następująco: do plastikowego korytka po lodzie śmietankowym wkładamy rozpostarty kawałek naszej damskiej pończochy. Na wierzch kładziemy firankę. Na to wszystko wkładamy nasz wapienny kamień. Wlewamy ocet. Po chwili słyszymy cichutki szum i syk, i widzimy bąbelki – polowanie rozpoczęte!

*„Między dwie głowy strzelić! sto kroków! nie chybić!
I w sam środek paszczęki! tak mu zęby wybić!
Panowie! długo żyję, jednego widziałem
Człowieka, co mógł takim popisać się strzałem.”*

Hrabia z Tadeuszem, a już bez wątpienia Asesor z Rejentem, gdyby mogli, chętnie by potwierdzili, że podczas polowania mogą się zdarzyć przykre niespodzianki. Mogą się one zdarzyć już w fazie wstępnej, a i przedwstępnej, co potwierdziłby jeden z moich przodków, który swego czasu, eksperymentując we własnym pokoju, łączywie nabił zbyt dużą ilość prochu do komory swojej myśliwskiej fuzji. Otworzył okno, usiadł w fotelu, wycelował, i... przeładowana komora prochowa eksplodowała odrzucając go razem z fotelem w przeciwny kąt pomieszczenia. Dziadek w kącie na podłodze, a na dziadku fotel. Poturbowan, ale przeżył.

W przypadku rozpuszczania narzutniaka, niemiłą niespodzianką jest Podstępna Ucieczka Octu. Dotyka ona tych, którzy lekceważyli wysiłki dydaktyczne swojej Pani-Od-Fizyki.

¹³Chitynowe pancerze trylobitów są przesycone taką ilością węglanu wapnia, że rozpuszczają się razem z matriksem.

Otóż ciecz o menisku wklęsłym, takie jak wodny roztwór kwasu octowego, pełzną ku górze w cienkich rurkach czyli kapilarach. Dlatego efekt zwie się kapilarnym. A damskie rajstopy to jeden wielki gąszcz kapilar. Jeśli brzeg naszej rajstopiej łatki zwisa po zewnętrznej stronie plastikowego pojemnika, ocet pełźnie do góry i wydostaje się na zewnątrz, cierpliwie skapując z krawędzi łatki. Gdy zajrzałem do pojemnika po pierwszym dniu rozpuszczania, stwierdziłem, że kamyk znajduje się w środowisku niemal suchym. Na dnie pozostała tylko marna resztką octu, a wokół pojemnika wielkie mokre kałuże, bielejące od wytrącającego się węglanu wapnia. Ocet wykonał robotę tylko częściowo, bo szybko zwiął z pojemnika. Od tamtego razu, brzegi łatki pończoszanej zawsze utykam wewnątrz pudełka.

Polowanie na konodonta odbywa się bez nagonki, co nakłada na myśliwego wymóg sporej cierpliwości. Ocet zżera nasz kamyk powoli, i po paru godzinach wyczerpuje się. Należy więc regularnie wymieniać rozpuszczalnik, na przykład rano i wieczorem. Gdy cierpliwości nam brak, możemy podczas takiej wymiany zebrać nasz nagromadzony w pończosze, dotychczasowy plon mikrofosyli. W tym celu trzeba jednak wyjąć kamień z pojemnika. Wiąże się to z ryzykiem połamania niektórych fosfosciamielin, ponieważ wraz z upływem kolejnych dni, nasz kamyk zamienia się w nibyjeżowca, z którego wystają na różne strony anteny rybich kolców i spiral. Dobrze jest więc ulewać roztwór bez wyjmowania kamienia, czy wręcz wysysać go dużą strzykawką, i cierpliwie czekać, aż wielodniowe rozpuszczanie dopełni się.¹⁴

W swojej skrytej przebiegłości, konodonty podobne są do samych narzutniaków: niby „występują pospolicie”, ale ich nigdzie nie widać. Niby są duże (aż do kilku milimetrów), ale ich nigdy na powierzchni kamieni nie wypatrzyłem. Pomimo metodycznego przeglądania całych połaci narzutniaków pod różnym powiększeniem. Zaczynałem wątpić, czy bez pomocy mikroskopu elektronowego da się je w ogóle dostrzec.

Im trudniejszy zwierz, tym większa myśliwego radość i nobilitacja, ale nie samym żubrem i niedźwiedziem puszcza stoi. Wiele zębów różnych stworzeń, nie tylko konodontów, oraz wiele prarybich kolców, a także łuski, z których zęby wyewoluowały, zbudowane są również z apatytu. Na powierzchni narzutniaków, łuski te wyglądają jak małe drobiny bursztynu, wielkości ziaren piasku. Dlatego na swoje pierwsze polowanie wybrałem wapniaka z „bursztynowymi” ziarenkami na powierzchni. Miałem apetyt na apatyt, a konkretnie na spirale zębowe ischnakantów, oraz ich kolce i łuski. Uszkodzone fragmenty takich spiral wcześniej znajdowałem kilkakrotnie na powierzchni kamińców, i myślałem, że rozpuszczenie narzutniaka pozwoli je wydobyć w stanie nienaruszonym. O istnieniu konodontów już prawie zapomniałem.

Druga faza polowania rozpoczyna się od spłukania tego, co znalazło się w pończoszanej pułapce, do innego pojemnika, najlepiej o białych lub przezroczystych ściankach. Ciężkie zęby, kolce, łuski i inne skamieniałości szybko opadają na dno, więc łatwo jest zlać nadmiar wody, bez ucieczki mikrofosyliów do kanalizacji. Następnie przystępujemy do polowania sensu stricto, które polega na wielogodzinnym przeglądaniu „frakcji pończoszanej” pod mikroskopem i segregacji mikrookazów.

Gdy wykonałem tę operację pierwszy raz w życiu, zatkało mnie z wrażenia. Na dnie takiego pojemnika zebrała się wielka Fosforanowa Menażeria Narzutniakowa, istne Fosfo-panopticum. I tak z niewielkiego narzutniaka wysypało się:

¹⁴Nie należy jednak przetrzymywać fosfosciamielin w occie dłużej niż tydzień, bo wówczas i one mogą zostać nadtrawione – patrz M. Ginter, „Metody preparacji chemicznej skamieniałości fosforanowych”, Kurs preparacji skamieniałości IPPAN, red. J.Dzik.

- Kilka setek rybich ząbków skórnych (łusek) o wielkiej różnorodności kształtów, ornamentacji i rozmiarów. Większość żałośnie mikroskopijna, w okolicach jednego milimetra. Wygląda to jak mała garść bardzo drobnego „piasku” o bursztynowym kolorze. Jedne lite – zapewne akantodowe, inne z otworem jamy mięksiszowej w podstawie – pewnie telodontowe, inne może paleoniskowe? Jedne rogate, inne pękate, jedne rombowe, inne kwadratowe, z grzbiecikami i bez. A co która inna i niepodobna do drugiej. Znowuż jedne jasne, niemal żółte, inne piwne prawie w czerń. Mikroskopowy ogląd tych łusek, spoczywających cienką warstwą na dnie naczynia – jest niczym lornetkowy pasaż przez Drogę Mleczną w ciemną noc. Czy ktoś te łuski rozróżnia? Czy ktoś wie do ilu należały stworzeń? I do jakich stworzeń? Złożoność i bogactwo zwykłej garści rybich łusek zwyczajnie zdumiały mnie.
- Wiele dziesiątków fragmentów kolców płetwowych różnej maści. O odmiennych kształtach, wielkości, i ornamentacji. Niektóre bez wątpienia należą do akantodów, inne – kto wie? Niestety kolce, pomimo, że nikt w kamyk nie kuł i nie stukał, występują w stanie połamano-popękany. Ich odtworzenie (sklejenie) wymaga jubilerskiej, modelarskiej, a może zegarmistrzowskiej, w każdym bądź razie masochistycznej, cierpliwości. Po prostu trzeba lubić puzzle.
- Kilkadziesiąt spiral zębowych ischnakantów, Niestety, mniejszych niż się spodziewałem. Część z nich w niezłym stanie. Dodatkowo liczne mniejsze fragmenty oraz pojedyncze zęby.
- Liczne niezidentyfikowane fragmenty szkieletu, w tym kilkumilimetrowe fragmenty jakby szczęk oraz płytki o różnej ornamentacji.
- Dziwne rożki, spirale i zwoje (plani i trocho spiralne) – sfosforyzowane ślimaki czy domki wieloszczetów?
- Sfosfatyzowane skorupki małżoraczków.
- Sfosfatyzowany trochit liliowca – sztuk jeden. Taki ekstra guzik „na szczęście”.
- Koprolity? Z zawartością jakichś mikroskopijnych szczątków.
- Kształty, formy, strzępki totalnie niezidentyfikowane, czasami o fantazyjnych czy sugestywnych kształtach.

Przyłgnąwszy do binokularu mikroskopu niczym głodna pijawka, brnąłem więc przez Galaktykę Tysiąca Ząbków Skórnych, która utworzyła się na zamokłym dnie naczynia. Przy pomocy małego nylonowego pędzla z czubkiem, takiego jakie lubią artyści-malarze, wybierałem co większe, lub co ciekawsze spirale i łuski. Wreszcie, a właściwie nie „wreszcie”, lecz zupełnie nieoczekiwanie, trafiłem na kroplę wody, a w niej – rzecz delikatną i w swym pięknie niezwykłą: maleńki biały grzebyk, udrapowany na podstawie z czystego szkła. Bezlitośnie maleńki: długość: 0,7 mm, wysokość 0,2 mm. Konodont?! Śnieżnobiały grzebyk utworzony był przez szereg ząbków o długości nie większej niż 0,1 mm. Część bazalna była zupełnie przezroczysta, jakby wykonana przez artystę ze szkła. W środkowej części, pod najdłuższym zębem, podstawa rozszerzała się w dziwne odstające płatki. Całość wyglądała jak małe anielskie skrzydła z alabastrowej bieli i szkła, pląsające w kropli wody. Jak toto sfotografować?

Tajemnica utajenia konodontów rozwikłała się: są okropnie małe i o zgrozo prawie przezroczyste.¹⁵ Naprawdę trudno je wypatrzyć na pstrokatej powierzchni narzutniaka. Znacznie łatwiej, gdy potrącone czubkiem pędzelka, samotnie fikają koziołki w oceanie wodnej kropli.

Polowanie powiodło się: mierzyłem w zająca – ustrzeliłem dzika. Jeden kamyk – a tysiąc okazów. Tym samym udała się kolejna Wielka Wyprawa Paleontologiczna, pełna emocji i niespodzianek, nie na Gobi, i nie na Enteropii, lecz w domowym zaciszu odbyta.

¹⁵Co do kolorów i powszechności konodontów warto zacytować profesjonalistów: „Z okolic Poznania rozpuściłam 33 narzutniaki, lecz tylko pięć z nich, (...), zawierało większą ilość konodontów. (...) Są one koloru jasnobursztynowego, niektóre przezroczyste, niekiedy białawe.” Z. Wolska, 1961, *Acta Paleontologica Polonica*, Vol. VI, No. 4, 339.

Nie ucz trylobita pływać

Dawno, dawno temu byłem w pewnym wielkim, pięknym, odległym kraju a w nim – w wielkich, pięknych i wyniosłych górach. W górach onych był uroczy narciarski kurort, a w nim – sklepik z fosyliami.

Skamieliny nie interesowały mnie wówczas tak bardzo jak dzisiaj, ale z uwagi na egzotyczną estetykę towaru – wszedłem. Był to kurort, w którym bywa, że bawią osoby takie jak, powiedzmy, Britney Spears czy Nicolas Cage, ten ostatni znany zresztą z nabywania oryginalnych kości tyranozaura, więc wątpiłem czy w ofercie znajdzie się jakieś fosylium dla niskobudżetowego turysty. Moją sytuację dodatkowo pogarszał stosunek dolara do złotego, który w owych czasach przekraczał krotność czterech.

Wewnątrz nie było żywej duszy, więc sprzedawca skupił na mnie całą swoją uwagę. Pozwolił robić zdjęcia, zapytał skąd jestem.

Z powodu (nad?)wrażliwości estetycznej (i ciągotek artystycznych) jestem klientem okropnym, bo wybrednym. Najpierw postanowiłem obejrzeć, a być może i kupić, duży płaski talerz wycięty z czarnego marokańskiego wapienia, w którym tkwią liczne białe łodzиковce. Sprzedawca wręczył mi najładniejszy egzemplarz, ale ja uparłem się, że chcę zobaczyć wszystkie talerze, i wybrać najlepszy. Ponieważ talerzy był wysoki stos, po rozłożeniu na podłodze ledwo mieściły się w sklepie (i oczywiście żaden z nich nie był ładniejszy od tego polecanego). Cena od sztuki dość zaporowa (sto parędziesiąt baksów). Na dodatek ten najładniejszy posiadał po stronie spożywczej jakąś wadę – średnio estetycznie zamaskowaną jakąś glazurą w kolorze fioletowym. Przykry artefakt, niegodny inwestycji snobistycznego estety.

Postanowiłem więc, że może kupię szkielet ryby na tafli kremowego łupka. Grymasiłem długo, w końcu stwierdzając, że rybki mnie nie satysfakcjonują, ponieważ ich szkielet zawsze był maźnięty jakąś ciemną farbą, aby zwiększyć widoczność i kontrastowość okazu na tle skalnym. Przykry artefakt, niegodny inwestycji purystycznego estety.

To może maleńkie naczynie-na-niewiadomo-co, z pokrywką zdobną w planispiralnie zwiniętego łodzika? Cóż jednak począć, kiedy niechlujny producent, chcąc wyeksponować łodzиковca, nadał pokrywce trójwymiarowy szlif, a żłobienia owego reliefu nie do końca pokrywały się z konturami łodzika. Przykry artefakt, oj przykry.

Wreszcie, w kącie przy podłodze, czyli w miejscu gdzie w rodzimych spożywcach nęcą poszukiwane wina typu „Rumba”, „Samba” oraz „Arizona”, trafiłem na coś sensownego: karton pełen dużych, pękatych, prawie kompletnych trylobitów, po naście dolicz sztuk. Miały z osiem centymetrów długości, a cefalon, tułów i pygidium na swoim miejscu.

Trylobity również były z Maroka, i tak jak ja przebyły szmat oceanu by się ze mną spotkać.

Nawet człek estetycznie chromy stwierdziłby bez trudu, że były to oryginalne skamieliny, a nie repliki. Liczne braki w skorupie pancerza i drobne cielesne ubytki, tu i ówdzie wyparte przez niekształtną kanciastą skałę, realistyczne pęknięcia okazu, i jego mnemoleptyczna skalistość, zarówno świadczyły o autentyczności, jak i tłumaczyły niską cenę okazów.

Kupiłem jednego. Wkładałem go już do plecaka, gdy sprzedawca ruszył na mnie niemal wydzierając mi go z ręki, i mamrocząc przy tym jakieś „let me have a look at him” („pozwól, że na niego spojrzę”). Naiwnie pomyślałem: „cóż za zaangażowany sprzedawca – tak

bardzo jest ciekaw jakiego z nich wybrałem”. On zaś zwrócił tryla grzbietem ku światłu i przypatrzył mu się z taką wnikliwością, jakbym to ja był sprzedawcą, a on kupował ode mnie duży diament, którego czystość skrupulatnie sprawdzał. Szybko jednak oddał mi go i dobiliśmy targu.

Trylobit wrócił ze mną do Polski, więc ponownie znalazł się w okolicach eks-Tetydy. Tutaj pokazałem go krewnym i znajomym, którzy pobłażliwie stukali się w czoło, widząc jak bardzo nieżyciowy „towar” przywozłem z rajskiej i niedosiężnej zagranicy.

Na koniec trylobit trafił do pudła, gdzie tkwił przez kilka lat.

Ojcem się zwykle jest początkującym, ponieważ zjawisko wielodzietności zanika, a żyje się tylko raz.

Będąc początkującym ojcem przychodzi mierzyć się z licznymi problemami chowu i wychowania potomstwa. Na początku problemy te są zdawałoby się proste, i należą do kategorii „tata napraw bo się popsulo”, albo „tata zrób nam taką a taką zabawkę”.

Tym razem dzieciaki dostały fioła na punkcie rycerzy, zbroi, mieczy, tarcz, smoków i zamków, czyli na punkcie *fantasy* w wersji dla ośmiolatków.

Zgłosiły zapotrzebowanie na przenośny zamek z klocków, otoczony fosą wypełnioną mokrą i błękitną *prawdziwą* wodą, w której to fosie grasować miał możliwie obleśny potwór-smok. Acha – do zamku miał wieść zwodzony most.

Zamówienia takie wywołują uczucie bezradności i przygnębienia, i bywa, że zamiast zrywu ku ich wykonaniu, rodzą chęć ciskania talerzami o ścianę. Toteż nierzadko nigdy nie doczekują się realizacji, albo są realizowane z wielkim opóźnieniem.

Tym razem jednak dzieciaki miały szczęście. Dotarła bowiem do nas paczka z dużym płóciennym abażurem o kształcie niskiego ale szerokiego walca, zapakowanym w wielki karton. Dla bezpieczeństwa transportu, abażur tkwił w dużej formie ze styropianu. Forma miała kształt skrzyni, na której środku wznosił się szeroki styropianowy czop. Na tym centralnym wzniesieniu dzieciaki zbudowały zamek z drewnianych klocków, okropnie pogryzmołonych pisakami i długopisem. Styropianowa krawędź skrzyni połączona została z centralnym zamczyskiem zwodzonym mostem, zrobionym z paska tektury przyklejonej taśmą klejącą. Do skrzyni wlałyśmy wody, tworząc głęboką, niełatwą dla wrogiej przeprawy fosę. Błękit wody uzyskaliśmy poprzez dodanie kilku kryształków barwnika do wielkanocnych jaj. Pozostał jedyny problem: obleśny potwór-smok.

Gdy dzisiaj spojrzę na półkę z zabawkami mych dzieciaków, trudno uwierzyć, że wówczas mogliśmy mieć z tym problem – aż roi się na niej od koszmarnych, niebożych postaci ze sztucznych tworzyw. Jest nawet *dwugłowy* tyranozaur – wypisz wymaluj okropny smok. Wówczas jednak mieli same normalne zabawki – a to wóz strażacki, a to pluszak miły. A przecie zamówienie mówiło wyraźnie: potwór-smok miał być jak nie z tej ziemi, okropny i dziwny jak nie wiadomo co.

– Chłopaki, a może by tak potwór-trylobit?

Pomysł chwycił: marokański trylobit godzinami szorował po styropianowym dnie, wyrzucając się z wody tylko po to by pożreć nieostrożnego śmiałka lub inne ofiary (nie było wśród nich poddawelskich dziewic, jako że termin ten nie wykrystalizował się jeszcze w jaźni naszych pociech).

Gdy rycersko-zamkowy szal minął, dzieciaki zwróciły mi trylobita i tu nastąpił zgrzyt: jedna trzecia jego strony grzbietowej zatraciła ostrość konturów i wyraźnie odbarwiła się.

Zaobliły się szczeliny pomiędzy tergitymi i ostre rowki na powierzchni tergitów. Wnikliwe wpatrywanie się sprzedawcy w okaz stało się jasne: sprawdzał w jakim stopniu połatany i sztukowany był wybrany przeze mnie trylobit. Sprawdzał jak mocno podrasowanym trylobitem dał się zwieść purysta, który nie kupuje malowanych rybek. Trzeba przyznać, że zanim się odbarwiła i rozmyła, replika brakujących fragmentów tułowia była wykonana wyśmienicie: dodana masa plastyczna musiała chyba być wykonana ze zmielonej rodzimej skały, bo w najmniejszym stopniu nie różniła się kolorem od oryginalnego pancerza. „Klej”, który ją spajał, czy cokolwiek co w roli kleju ją spajało, nie powodowało żadnego dodatkowego połysku, który rzucałby się w oczy kupującemu. Na dodatek kształt sztucznych tergitów był idealny, takiego samego typu jak prawdziwych tergitów sąsiednich – czyżby wykonano je jako odlew używając jako formy odcisku prawdziwego trylobita?

Ponieważ „po namaczaniu” dosztukowane fragmenty rzucają się w oczy, przyszło mi do głowy aby je usunąć – wydłubać tak, aby uzyskać naturalny wygląd trylobita bez brakujących fragmentów. Nawet to jednak nie jest możliwe, ponieważ dosztukowane fragmenty są istotnym elementem spajającym popękany okaz. Po ich wydłubaniu trylobit zapewne rozleciałby się na kawałki.

Polak mądr po szkodzie –
mistrz Jan przypominał.

Lecz jaką przypowieść
z historii tej przyszło
Lachowi nabywać?

Przypowieść paleo:
Nie ucz waść kupionego
trylobita pływać.

Ostałem się więc z trylobitem w łatki. W łatki o pojaśnionej barwie i rozmytych konturach. Przykry artefakt. Oj przykry.

Kapsuła strachu

Przysięgam, że tak powiedział: "KLEJ: STO CEN!", niczym jakaś reklama w hipermarkecie w dziale „Farby i kleje”. Ale zmuszony byłem przełknąć tę profanację terminu geologicznego nawet bez mrugnięcia powieką. Ale może zacznijmy od początku.

Wdostać się na tę żwirownię było bardzo trudno. Po każdym stwierdzeniu portiera nachodziła mnie ochota, by odpuścić:

- Nie wpuszcze pana, bo tu już chodzi taki jeden pan zbierać.
- To może skoro jeden chodzi, to dałoby się zrobić, żeby chodziło dwóch?
- Nie da się. Tamtem pan to do muzeum zbiera proszę pana. Do muzeum w Myśliczku.
- Ale ja też zbieram do muzeum. Do muzeum internetowego. Może ma i większy zasięg od muzeum prawdziwego. Co ciekawszego znajdę, to zaraz wrzucam do internetu.
- Panie, i o to się właśnie rozchodzi: pan tu coś ciekawego znajdziesz, pokażesz pan w internecie, i zara przyjadą te archeolodzy czy jak tam pan. Papierem machną i będzie koniec kopania.

– Panie – nie przyjadą, toż tu jest plejstocen, gdzie kopiecie. Wszystko przemieszane przez lodowiec i na pół Europy rozwleczone. Jak u was trafię ząb spinozaura, to jego miednica będzie pod Berlinem.

– Panie, pan mi tu nie jakiś klejstocen, tylko panu mówie: przyjadom z Warszawy, tu będzie słupek, tam będzie słupek, a pomiędzy taśma. Tu będzie taśma, tam będzie taśma i gówno Pan wejdiesz. Nikt nie wejdzie. Panie! – no co tu gadać – nawet JA nie wejde!

– A ten z muzeum, dawno był? Kiedy znowu będzie? Przecie tylko na powierzchni się zbiera. W międzyczasie dokopiecie...

- (...)
- Panie, to chociaż ten jeden raz wpuść a więcej pan mnie już nie zobaczy.
- (...)
- Jak znajdę co wartościowego, to wiadomość zachowam dla siebie.
- (...)
- (...)
- No włącz pan. Ale tylko ten raz.

Kopalnia obfitowała w osadowe narzutniaki fosalne, ale rewelacji nie było: jakieś zdar- te pygidium Calymene, drobnicowa mielonka sylurska, czy poobdzierane gąbki kredowe. Niewykluczone, że ów „pan z muzeum” opuściłby ten teren z pustym plecakiem.

Ja jednak ciągle byłem niedoświadczonym napalonym zbieraczem, ciekawym wszystkiego co w kamieniach nieżywe, i bez żadnej specjalizacji zainteresowań paleontologicznych. Na dodatek miałem tu już ponoć nigdy nie wrócić. Każdy ów nędzny kamyk wydawał mi się małym cudem natury, lądował więc w plecaku, który rychło zrobił się ponad siły ciężki i pełny. Wrzuciłem jeszcze kilka sztuk do kieszeni, ostatnią znajdę wzięłem w rękę i ruszyłem do wyjścia.

Jednak gdy tylko ruszyłem, uwagę mą zwrócił beżowy kamień nieco większy od pięści. Wyglądał jak wapniak dolnopaleozoiczny i był całkowicie jałowy, nie licząc dwóch marnych kresek przekroju, który wyglądał tak: ()

To znaczy przekrój ów wyglądał jak dwie łukowate kreski zwrócone wklęsłą stroną ku sobie. Miały długość jakichś trzech centymetrów. Jedna z nich była trochę mniejsza i bardziej zakrzywiona od drugiej.

Czyżby przekrój przez dwie skorupy jednego małża? A więc nic szczególnego, nic ekscytującego. Dolnopaleozoiczne małże, które dotąd znalazłem, nie grzeszyły urodą skorupki. Nie grzeszyły też ich trwałością: zwykle skorupy te były przekrystalizowane na multum małych, upchanych raz przy razie kryształów kalcytu, które rozpadają się na drobne nawet przy najdelikatniejszym odkuwaniu otaczającego osadu. Patrzyłem więc na jałowego wapieniaka z niewykuwalnym, nudnym małżem w środku. Ciężki plecak pił w ramiona, miażdżył stawy nóg, i prasował moje nieodżałowane dyski międzykręgowe.

Zabrać jeszcze i to badziewie, czy odrzucić?

Prawda taka, że materiał zabłoconego przekroju jednak nie do końca przypominał kalcyt, a linia jednego z łuków na pół milimetra zbaczała na chwilę z właściwego kursu, by po kilku milimetrach powrócić na stare tory. Coś się więc minimalnie nie zgadzało, a ja miałem jedną wolną rękę. Kiepski kamień opuścił więc zwirownię.

Jako mało ciekawy i nieobiecujący egzemplarz, w domu trafił w głęboki i ciemny kąt. Na kilka tygodni trafił wśród marne kamienie, które „obejrzy się w czasach posuchy fosylnej, gdy naprawdę nie będzie nic ciekawego do preparowania.”

Po jakimś czasie czas posuchy nadszedł: na zwirowniach – szczyją już psami, hałdki rolnicze – przeszukane po trzykroć, a nawet budowlany gruz, w którym z rzadka też można trafić wapieniaka, sterczącego z tafli tynku. Czas obejrzyć beznadziejne okazy i wreszcie pozbyć się ich z mieszkania.

Mikroskopowe oględziny wyszorowanego narzutniaka wykazały, że skorupa obiektu “()” zbudowana jest z białego, bardzo jednorodnego materiału. Materiał taki przypomina biały plastik i widuje się go u wybielonych trylobitów raczej niż u dolnopaleozoicznych małży.

Pierwszych kilka uderzeń młotkiem w dłutko istotnie zaprzeczyło hipotezie małżowej: oczom moim ukazała się gładka skorupa o ślicznym kasztanowym kolorze, tu i ówdzie z charakterystycznymi zmarszczkami. Tak świeża, jakby ktoś ją zatopił w wapieniu przedwczoraj. Ba! – świeża, jak dojrzały owoc kasztana wyłuskiwany z jego zielonej kolczastej łupiny. A więc trylobit? Ale trylobity nie mają takiego przekroju... Zazwyczaj widać po prostu powyginany przekrój ich pancerza. Na przykład segmentację pygidium lub loby glabelli. A więc gładki trylobit? Pygidium tryła z rodzaju *Asaphus*?

Powoli.

Przecież tryle mają tylko pancerz grzbietowy i na pewno nie w kształcie małża o dwóch zamkniętych skorupkach. Ale z łatwością mogą to być dwa pygidia, przypadkowo ustawione wkłęsłościami ku sobie. Dwa pygidia w jednym narzutniaku zdarzają się często, nawet *zbyt* często. Nie pojmuję dlaczego tak wiele narzutniaków zawiera albo wyłącznie pygidia, albo wyłącznie cefalony, tak jakby jakiś „demon śmierci w osadzie” chciał utrudnić zbieraczom identyfikację rodzaju, lub skompletowanie całego zwierzaka.

A więc dwa pygidia *Asaphus*. Też nieźle.

Na tym etapie zacząłem się lekko obawiać (bać?) o wyniki mojej rzeźbiarskiej stukaniny. Moja poprzednia ekskawacja trylobita zakończyła się znacznym oszpecceniem: narobiłem tyle białych ciałek na pancerzu trylobita *Chasmops*, że gdy tylko biorę go do ręki, ogarnia mnie niesmak.

Co gorsza, wcześniejsze ekskawacje pygidium *Asaphus* kończyły się rozpadem ich skorupki na pięćdziesiąt małych kawałków. Ich skorupki niczego innego nie pragnęły niż pęknąć pod dłutem w mych rękach.

Teraz zaś miałem dwa pygidia, których ocalałe fragmenty najwidoczniej zachowały się w stanie luksusowym. Jeśli znowu je rozdrobnię, porysuję, napunktuję... (to sobie nie daruję).

Zrobiłem więc wszystko co mogłem, żeby się przygotować do tej ekskawacji jak należy. Swojego pierwszego tryla wykuwałem jednym dłutem, dłuta jednak tępią się szybko, ich czubki łamią się często, a ponownie po szlifierkę sięgać się nie chce. Poświęciłem więc cały zestaw pilników-iglaków, ostrząc je zawczasu wprost na igłę, dosłownie w punkt. Wszystkie były smukłe i ostre jak wściekły pies, gwarantując, że przez dłuższy czas będę miał pod ręką ostre świeże narzędzie. Mając czym pracować, rzuciłem się w wir namiętnego kucia. Jak zwykle nie sprzątnąłem ze stołu odłamków po poprzednich ekskawacjach.

Ponieważ nieco większe pygidium tkwiło w skale głębiej i znajdowało się pod mniejszym pygidium „przypowierzchniowym”, skupiłem się na ekskawacji tego ostatniego.

Wykuwanie szło wprost przepięknie: uderzone dłuto wywoływało pęknięcie głębsze niż zasięg białego ostrza. Kamień pękał w głąb aż do granicy skorupa-matriks, dalej pęknięcie szło wzdłuż zewnętrznej powierzchni skorupy i odskakiwał odłamek odsłaniający uroczo czysty pancerz trylobita. Aż chciało się kuć.

Z biegiem czasu zaczęły się jednak pojawiać niespodziane komplikacje.

Przy prawej krawędzi odsłanianego dużego pygidium ukazał się mały policzek jakiegoś innego Asaphida z kolcem policzkowym. Wliczając kolce policzek był wielkości centymetra, czyli trzykrotnie mniejszy od odsłanianego pygidium. Co zrobić z tym kolcowym policzkiem, który stanął na drodze wydobywania dużego pygidium? Policzek posiadał małe oko holochroalne, z wielką liczbą ledwo widocznych soczewek – oko, które zobaczyłem po raz pierwszy w życiu. Odkuć go i całkowicie usunąć? Czy tylko odkuć matriks dookoła policzka, odsłaniając pygidium tak bardzo jak się da, ale zostawiając policzek na miejscu? To by wymagało wykucia wnęk pomiędzy policzkiem a pygidium, a kucie we wnęce to pewna dewastacja. Kolce policzka miał grubość wyraźnie mniejszą od milimetra, a w przestrzeni pomiędzy nim a pygidium ledwo mieścił się brzeszczot. Strach zrobić cokolwiek.

Nie mogłem podjąć decyzji, ale to nie wszystko. Przeciwną, lewą stronę pygidium odsłoniłem całkowicie, ale tuż na lewo od niej, *gdzie powinien być wyłącznie matriks*, przywaliłem w coś co okazało się być sterczącym czubkiem tergita. Tergit *na lewo* od pygidium? Cóż, w kamykach z pygidiami, segmenty tułowia trylobitów mogą się zdarzyć w dowolnym miejscu, i w dowolnej geometrycznej orientacji. Ot, tkwi sobie tergity, i tyle. Obkuwając ten tergity natychmiast przywaliłem jednak w czubek kolejnego tergita, który tkwił sobie dosłownie dwa milimetry obok pierwszego. A więc dwa tergity, dziwnie przyklepione do siebie i zorientowane skośnie jeden względem drugiego. Zdarza się?

Następnie odsłoniłem przód pygidium aż do miejsca, w którym za życia trylobita łączy się ono z tułowiem. Tutaj powinien się rozpocząć obszar jałowej skały, *o ile* pygidium to pozbawione jest tułowia, co prawie zawsze jest prawdą.

Prawie, ale NIE zawsze, więc nabrałem głęboko powietrza i ostrożnie, atom po atomie usuwałem matriks, który otaczał pygidium od przodu.

Nic.

Sama skała. Uff...!

Wyglądało, że mam do czynienia z samotnym pygidium, więc zamaszyście zacząłem odkuć większe hausty na przodzie pygidium i natychmiast, niczym jakiś nieostrożny frajer, uderzyłem w kolejny cienki obiekt w takim samym kasztanowym kolorze jak pygidium.

Tego już za wiele. Co tu się dzieje?

To miała być banalnie łatwa ekskawacja gładkiego wypukłego obiektu, czyli dziecinada preparacyjna. Sprężam się w trudnych momentach jak mogę, dmucham na zimne, a za

chwile wpadam jak słoń w skład porcelany.

Tylko spokojnie. Wybacz sobie te wszystkie drobne dewastacyjki, byle tylko nie było ich już więcej...

Odkujmy to dziwne coś u przodu pygidium. Cienkie dosłownie na pół milimetra. To „cienkie coś” ciągnie się przez całą szerokość pygidium, w stałej odległości kilku milimetrów od jego przedniej krawędzi. Tergit? Ale tergit tryła o szerokości trzech-czterech centymetrów, nie może mieć przodotylnego rozmiaru tak małego jak pół milimetra...

Zostawmy ten problem na później.

Obkujmy dookoła ten cholerny policzek. Będzie go łatwiej odciąć brzeszczotem.

Pierwszy stuk i od razu wpakowałem się w następne małe coś. Bardzo małe. Kilkumilimetry. Ten jeden nieszczęsny stuk zniszczył ten obiekt w 75-ciu procentach.

Rzut oka przez binokular. Co to kurczę jest? Resztką maleńkiej hypostomy w kształcie dwuzębego widelca, jak to u Asaphida. Czyżby należała do tego małego trylobita z kolcem policzkowym? Znowu doszło do zniszczeń, ale cóż – ów ekstra dodatek był mały, to i strata mała.

A jednak obawy we mnie narastały. Zbyt często wpadałem na niespodziane trylowe organy. Zbyt wiele już było napunktowań na tergitach, ale co najgorsze – w tym rzekomo jałowym wapieniu tkwiła jakaś zwariowana, niepojęta konstelacja trylobicich części: duże pygidium, które odsłaniałem, maleńki policzek z kolcem i okiem, jeszcze maleńsza, celnym strzałem zniszczona hypostoma, cienki jak gazeta „tergit” (?) pięć milimetrów przed pygidium, a z boku po lewej sterzące dziwacznie końcówki dwóch tergitów.

Te końcówki zresztą jakoś tak pochylone, jakby się chciały przytulić do siebie.

Acha – i było jeszcze to drugie wielkie pygidium, którego jedynie przekrój wystawał na powierzchnię, i którego jeszcze nawet nie zacząłem odkuwać, z uwagi na jego bardziej pogrążoną pozycję w skale.

O co w tym wszystkim chodzi?

Podkułem jeszcze trochę te dwie końcówki tergitów i ujrzałem jakieś niepojęte geometryczne dziwadło, które nie wiem nawet jak opisać.

Założmy, że gramy w karty. Po rozdaniu każdy bierze swoją pulę kart do rąk i rozsuwa je u góry jak wachlarzyk. Na dole, przy nadgarstku, jeden z narożników jest osią obrotu, i karty w tym narożniku prawie nie rozsuwają się. Naroża wszystkich kart są tam bardzo blisko siebie, dzieląc wspólną oś obrotu.

To, co zobaczyłem, było jak ten wspólny karciany narożnik wystawiony na zewnątrz ze skały. Tylko nie karty go tworzyły, lecz kilka tergitów. Wyglądało to jak „nierobocza” końcówka rozsuniętego chińskiego wachlarza z bambusa, wystawionego ze skały na mój zdumiony widok.

Coraz bardziej bałem się głupich zniszczeń, bo jedno było pewne: z każdym kwadransem moje pygidium otaczało coraz więcej zagadkowych obiektów, a ja nie ogarniałem ogólnej geometrii potwora, który czaił się w moim kamieniu.

Gdy ktoś nie ogarnia kształtu okazu – z pewnością dokona zniszczeń.

Odkułem więc jeszcze trochę ten cienki długi obiekt na przedzie i zniemacka doznałem dramatycznego olśnienia. Dosłownie wpadłem w zachwyty nad tym co siedzi w środku, pomimo, że jeszcze tego nie ujrzałem. Chciałem chwycić kamień i wybiec z nim na ulicę krzycząc „Eureka!”, niczym Archimedes, gdy wyskoczył z wanny.

Cienki tergit u przodu pygidium był taki cienki, bo był obrócony swą wierzchnią stroną pod kątem prostym w stosunku do powierzchni pygidium. Patrzyłem więc na pygidium od góry, a jednocześnie na tułów - od tyłu. Tak jakby ktoś złamał trylobita w pół. A jeśli raz

złamał, to czemu nie jeszcze raz? Tuż przy cefalonie?!

Oczami wyobraźni zobaczyłem odsłonięte pygidium, następnie w poprzek ustawiony tułów, który tworzy „pierwsze zgięcie” i ciągnie się w głąb kamienia, a dalej jeszcze raz w poprzek ustawiony cefalon, który tworzy drugie zgięcie, skierowując pancerz z powrotem ku powierzchni i czyniąc go widocznym w postaci łuku przekroju „drugiego pygidium”.

A więc „drugie pygidium” to cefalon! Znalazłem tryła zwiniętego ze strachu w kapsułkę. Takiego, o jakim zawsze marzyłem. Niesamowite: nie dość, że trylobit prawie w całości, to jeszcze zrolowany w kulkę.

Karciany narożnik na lewo od pygidium to „na zakładkę” ponasuwane tergity zrolowanego tułowia. Taki sam powinienem znaleźć po prawej stronie pygidium, gdy tylko odkuje (odetnę?) ten cholerny policzek z kolcem.

Kilkumilimetrowa zaś przerwa pomiędzy pygidium a tułowiem to niewielkie rozerwanie, zapewne wywołane przez skalny nacisk.

Ekscytacja ogarnęła mnie całkiem, a strach przed dewastacją wzmógł się jeszcze bardziej, pomimo, że teraz geometrię już znałem. A przynajmniej tak mi się wydawało. *Asaphus* zastygł w strachu sprzed prawie pół miliarda lat, więc od tej pory baliśmy się razem.

Jest takie miejsce w trylobicie, które zawsze ulega dewastacji podczas wykuwania, jakkolwiek mocno byśmy się nie starali. Jest nim oko.

Oko trylobita ma wszystko wszędzie dobrze widzieć, dlatego sterczy ono wysoko nad tułowiem w postaci wysokiego stożka, walca lub kuli. Optyczna powierzchnia oka, utworzona przez setki małych soczewek, otacza walec oka prawie ze wszech stron: wypukła się ona do przodu, na bok i do tyłu, i prawie nie ma kierunku, z którego możnaby do oka bezpiecznie, bezdewastacyjnie podejść odkuwczą igłą.

Raczkujący preparatorzy w dewastacji trylobicich oczu są niedoścignieni. Ja swojego pierwszego trylobicznego oka nawet po prostu nie zauważyłem i potraktowałem je jak skalny matriks. Toteż gdy przyszło do odkuwania cefalonu, bałem się zbliżyć do oka, jednak ciekawość właśnie tam kierowała rękę zbrojną w igłę.

O dziwo tam gdzie powinno być oko – odkuwałem tylko pancerz i pancerz, który z każdej strony wznosił się w górę i w górę, tworząc grubą kolumnę wznoszącą się nad ciałem tryła – kolumnę słupka ocznego. Niespodzianie okazało się, że trylobit to *Asaphus punctatus* – pospolity wariant *Asaphus* z solidnymi, wysokimi ale grubymi, łatwo wykuwalnymi słupkami ocznymi. Słupki te niemal płynnie przechodzą w soczewkową powierzchnię optyczną oka. Jest ona cienka, ale gładka jak pancerz i zazwyczaj dość łatwo odchodzi od niej matriks.

Zazwyczaj nie znaczy zawsze. W miarę postępu prac matriks coraz bardziej niechętnie oddzielał się od pancerza. Po wykuciu obydwu słupków z oczami pozostało mi wykuć prawy bok tułowia, najgłębiej pogrążony w skale. Coraz częściej jednak igła wbijała się w pancerz zanim matrix raczył odpryskiwać od tryła. Im głębiej w kamyk – tym więcej czyniłem szkód, a matriks był niczym jakaś przyspawana twardziawka. To skutek zagłębiania się w mniej zwietrzałe wnętrza kamienia. Większość narzutniaków wykazuje właśnie taki silny gradient twardości i spoistości matriksu. Dlatego należy czujnie dostosowywać technikę preparacji do własności skalnego ciasta. W pewnym momencie szkody stały się tak częste, że bałem się każdego kolejnego stuknięcia młotkiem w igłę. Zaprzestałem kucia, odkładając robotę na lepsze czasy. Ze strachu o estetykę trylobiciej kapsuły strachu.

The Golden Watch Paraceraurus (czyli Zegarkowy Paraceraurus)

To było tak:

Wieś owa była na końcu świata, a jednak, zataczając coraz dalsze kręgi w poszukiwaniu fosyliów, przejeżdżałem przez nią już chyba czwarty raz. Wiosna to była najwcześniejsza: ocieplenie w środku lutego, więc żadna roślinność nie wchodziła w paradę poszukującym oczom zbieracza. Toteż z suchych chaszczów na zakręcie drogi, w których nigdy przedtem nic nie było, tym razem wychynął jakiś głąz.

Była to stara, zapomniana hałdka rolnicza, rozpłaszczona jak naleśnik przez ciężar czasu, zarosnięta, przerośnięta i obrośnięta przez kolczaste chwasty i przyozdobiona padliną jakiegoś nierozpoznawalnego kręgowca. Wśród padliny i cierni tkwił niepozorny (a dla mnie – niesamowity), brzydki (przepiękny), szary i chropawy (szlachetnie matowy) ordowicki głąz. Miał kształt równoległoboku czy rombu o boku około dwudziestu centymetrów. Gruby na centymetrów pięć. Jeden z jego boków utworzony był przez pękatą rurę łodzika Endoceras. Na innej zaś bocznej powierzchni sterczała naga ośródka jakiegoś fosylium, dużego na dwa centymetry.

Po domowym myciu kamienia okazało się, że była to glabella trylobita Cheirurus – całkiem dużego osobnika. Glabella wystawała z kamienia bokiem, informując, że lewa część głowy trylobita oderwała się i zaginęła, podczas gdy prawa część cefalonu ciągle tkwi zanurzona w skale. Postanowiłem ją wydobyć.

Istnieje kilka sposobów destrukcji skamieniałości podczas preparacji, a kilkaset sposobów jej oszpecenia. Jeden ze sposobów oszpecenia to kucie w dołku. Gdy jedną ścianę dołka stanowi skamieniałość, a drugą ścianę – matriks, wówczas energia uderzenia w dłuto rozkłada się na obydwie strony, grożąc rozkruszeniem obu ścian wnęki – a więc i skamieniałości. Nigdy nie kujemy więc we wnęce – należy obniżyć matriks wokół skamieliny i odkuć „jednostronną skarpę” materiału, a nie działać w V-kształtnym dołku.

Postanowiłem więc odkuć spore hausty materiału w bezpiecznej odległości kilku centymetrów od domniemanego zasięgu cefalonu. Gdy tylko wszcząłem ową deniwelację, dokonując pierwszych większych odłupów, natychmiast rozerwałem jakiś niebotycznie długi wąski obiekt, biegnący po przekątnej równoległoboku kamienia. Czyżby gzyms innego cefalonu innego trylobita? Poderwałem więc jeszcze jeden duży płat matriksu w jeszcze większej odległości od cefalonu, ze zgrozą odkrywając, że długaśna struktura ciągnie się i ciągnie pod powierzchnią kamienia przez wiele centymetrów.

Dotarło też do mnie, mocno poniewczasie, że gdyby długi obiekt przedłużyć w myślach w stronę cefalonu, mógłby on do tego cefalonu dochodzić, stanowiąc z nim jedną całość. Na dodatek długi i tajemniczy obiekt zwięza się w miarę oddalania od cefalonu. Czyżby był to kolec policzkowy cefalonu, który próbuję wykuć?

Kolec policzkowy w odległości ośmiu centymetrów od glabelli?

Przecież, pomyślałem, trylobity Cheirurus nie mają tak gigantycznych koleców policzkowych – sporo ich obrazków stoi choćby na planszach Barrande’a.

Okazuje się jednakowoż, że jeden z trylobitów Cheirurus posiada właśnie tak monstrualne kolce policzkowe: jest to *Paraceraurus exsul*.

Na szczęście pobieżnie znałem wygląd tego potwora z sanktpetersburskiego internetu. Trza było więc podążyć dłutem za owym długim kolcem w kierunku cefalonu i odkuć całość.

Tu dochodzimy do drugiego sposobu na oszpecenie skamieliny – jest nim fragmentacja rozbitego (rozłamanego, pękniętego) pancerza. Czyli rozpadanie się na coraz mniejsze i mniejsze kawałki. Albo na wcale nie mniejsze, lecz obejmujące swoim zasięgiem coraz większą i większą powierzchnię skamieliny. Krótko: rozłam pancerza propaguje się, rozprzestrzenia niczym zaraza. Dlatego, jeśli to możliwe, staramy się nie rozłamywać pancerza. Odkuwamy tak, żeby pancerz nie pękał, żeby ciągle był w jednym kawałku.

Co prawda, przynajmniej w teorii – fragmentacja sama w sobie nie jest tragedią, ponieważ co odpadło – można przykleić z powrotem na miejsce. W teorii.

W praktyce zaś: co odpadło może się zgubić, może poszybować hen za szafkę, płatkę, lub lodówkę, albo schować wśród setek matriksowych odłupków. Albo może niepostrzeżenie przycupnąć na statywie mikroskopu, jego obudowie, czy na oprawce żarówki oświetlającej, przymikroskopowej lampki. Może nawet niepostrzeżenie wylądować na twoich włosach, wpaść chyłkiem do podwiniętej nogawki spodni, złądować na poziomej belce rozpierającej nogi twojego krzesła lub w szczelinie pomiędzy tkaniną krzesła, a jego ramą. Co odpadło od pancerza – po odnalezieniu może ponownie odpaść – tym razem podczas przenosin, od nawilżonego śliną pędzelka. Owo małe coś może podczas wkładania do strunowej torebki nieopatrznie „zderzyć się” z jej krawędzią. I tym sposobem – może znowu zaginąć lub jeszcze mocniej rozfragmentarycznić się. Co odpadło – może się rozłamać na drobniejsze podczas klejenia. Może nie chcieć pasować na miejsce, z którego odpadło. Może się nieapetycznie upaćkać klejem. Upaćkane, może bardziej pokochać pędzelek (i bardziej do niego przywierać), niż miejsce, w którym chcemy owo coś przykleić. Jeśli to co odpadło jest bardzo małe, może odfrunąć w niewiadomym kierunku pod wpływem sił elektrostatycznych. Klejenie zaś małych odłupków – daje w kość. Jeśli istnieje piekło – odbywa się w nim klejenie mikrofosyliów. Małe krople kleju nie chcą się tworzyć, a gdy się tworzą – nie chcą płynąć, a gdy płyną – nie w tę stronę co trzeba. Na przykład, płyną pod górę zamiast w dół z powodu przewagi sił międzycząsteczkowych nad grawitacją. Małe krople wysychają odparowując w ciągu kilkunastu czy kilkudziesięciu sekund. Nie da się najpierw posmarować klejem, a później przyłożyć odłupek. Trzeba działać oburęcznie, lewą ręką smarując oglądane przez mikroskop miejsce, a prawą natychmiast dociskać odłupany detal. Operowanie lewą ręką jest straszne. Kontrolowanie procedury przez mikroskop – w znikomej głębi ostrości i małym polu widzenia – jest straszne.

Toteż odkuwając fosylium należy nie łamać pancerza.

Ja jednak już na starcie miałem kolec w kilku dużych kawałkach, oraz w kilkunastu kawałkach drobniejszych. Proces pękania pancerza jest zjadliwie złośliwy: oprócz kilku dużych kawałków zawsze odpryskuje kilkanaście drobin okółomilimetrowych. Na tyle dużych, że ich brak widocznie oszpeca, a i na tyle małych, żeby dać w kość klejącemu.

Pancerza nie należy łamać również dlatego, że po przyklejeniu odłamków, chętnie łuszczą się one (rozdrabniają i odpadają) przy późniejszym odkuwaniu. Rośnie ilość odpadniętej drobnicy, rośnie ilość skrzętnie opisanych torebek z odławkami do późniejszego przyklejenia, rośnie ilość miejsc do sklejenia, rośnie ilość szans na zgubienie fragmentów...

Sztuka preparacji JEST paranoją.

A ja nie byłem tej sztuki mistrzem, tylko stawiałem wczesne nieporadne kroki na drodze do jej ogarnięcia.

Wystraszony fragmentacją kolca postanowiłem, że może zacznę jednak od glabelli, która częściowo wystaje na powierzchnię. Pierwsze kilka stuknięć i od razu odkułem fragment

pancerza, który na glabelli nawet dużego *Paraceraurus*, jest cienki jak kartka papieru.

Trudno.

Trza przykleić, odczekać i spróbować jeszcze raz, ale delikatniej.

Jako że nigdy nie wydobywałem trylobita *Paraceraurus*, a odkuwanie groziło grubymi błędami, większość pancierza postanowiłem wydrapać cienką węglkową igłą (a właściwie zestawem wielu różnych igieł). Zostawia to ślady na pancierzu, ale jest dość bezpieczne jeśli chodzi o generowanie większych ubytków. Co więcej, jeśli się bardzo staramy nie zostawiać śladów, to zostawiane ślady są widoczne tylko przez mikroskop, lub tylko przy bardzo uważnym przypatrywaniu się.

Jestem w tym ciągle nowy – więc procedura trwała miesiącami. Trylobit zwodził jak mógł: przy zbliżaniu się do pancierza matriks przybierał kolor prawie identyczny jak kolor pancierza. Jeszcze w fazie odkuwania wyrąbałem dwoma głupimi sztychami wielki, choć na szczęście płytki, dołek w policzku. Poszukiwania policzkowych odłupków trwały przez wiele wieczorów, bo upadły wśród tysiąca odłamków. Teraz wiem, że nie należy się nigdy ociągać ze sprzątaniami odkuwanych odłamków, należy je usuwać ze stołu notorycznie, ustawicznie, regularnie i często. Pomimo długotrwałych i sumiennych poszukiwań, znalazło się tylko 50 procent zguby. Wryłem się jeszcze w prawy drugi lob glabelli, i jeszcze w lewy bok potężnego pierścienia potylicznego. Odłupałem daszek nadoczny (płat powiekowy), co wskazało mi pozycję oka. Przykleiłem daszek, mimo wszystko po chwili wdziabując się w oko, które okazało się znacznie bardziej pękate (kuliste), niż się spodziewałem. A spodziewałem się oka bliższego kształtem walcowi... Próbowałem więc oko debiutancko odpiaskować, co tylko pogorszyło sprawę, bo w oddziabanym miejscu tkwiła drobina miękkiego materiału fosforanowego, który natychmiast zmienił się w głęboki, brzydki, pusty dołek pod najłżejszym strumieniem sody z mikropiaskownicy. Poza tym soda niezbyt zdzierała twarde matriks, korund zaś zdzierał wszystko, włącznie z pancierem trylobita, więc porzuciłem mikropiaskowanie na rzecz igły.

Trylobit naprawdę zwodził: jego policzki z przodu mają dołki, a z tyłu – przeciwnie – rogate wypustki na powierzchni pancierza. Trza było nawigować igłą pomiędzy nimi, wokół każdej z wypustek z osobna. Ich lokalizacja i geometria były nieprzewidywalne, więc nie obyło się bez zarysowań. Podobnie glabella – z przodu jest gładka, a z tyłu – ma małe brodawki...

Sklejony kolec okropnie łuszczył się i drobił przy powtórnych odsłanianiu. Część fragmentów odpadała ponownie, więc ponownie je przyklejałem, część bezpowrotnie zaginęła. Spiłowywałem matriks pilnikiem, oddrapywałem nanometry, wypłakiwałem oczy... W ostateczności kolec został właściwie skleiony z mnóstwa (kilkudziesięciu) małych pancierzowych fragmentów. Chyba ze sto godzin mi pochłonęło owo kucie, dłubanie i klejenie, z czego ze trzydzieści zeszło na zażarte poszukiwania odrfujących mikroodłamków.

W sumie jednak udało się wydobyć w miarę schludnie wyglądające pół trylobiciej głowy. Po namoczeniu nawet bardzo schludnej głowy. A i bez namoczenia efektownej, z uwagi na rozmiar i potworną formę zwierzaka. Dystans od czubka kolca do punktu na przodzie glabelli wynosił jakieś 11 cm, a cały cefalon musiał być oryginalnie szeroki na 8 cm. Piękne monstrum!

Żeby zrozumieć dlaczego jest to Zegarkowy *Paraceraurus*, potrzebne są dwie dygresje.

Pierwsza – lotnicza. Szansa zderzenia się dwóch samolotów w powietrzu jest minimalna, z powodu znacznych odległości pomiędzy nimi. Jednak w pobliżu lotniska gęstość powietrznych statków znacznie wzrasta, i wszystkie one chciałyby wykonać podobny manewr startu lub lądowania. Wszystkie te samoloty chcą powtórzyć te same ruchy, które pozwoliły im wylądować wczoraj, przedwczoraj, itd. Aby uniknąć zderzenia, potrzebne są więc specjalne korytarze i reguły, które zapewniają separacje w czasie i przestrzeni.

Dygresja druga: w filmie „Pulp fiction” jest rozdział pod tytułem „The Golden Watch” (złoty zegarek), w którym kilkuletniego chłopca (o imieniu Butch) odwiedza weteran wojenny, przekazując mu cenną pamiątkę po ojcu chłopca: złoty zegarek, który ojciec miesiącami przechowywał w obozie jenieckim, a gdy zginął – podobnie przechowywali go żołnierze-koledzy. Dorosły Butch jest bokserem na usługach mafii. Ma w umówionej rundzie poddać mecz, aby mafiozi wygrali zakłady. Butch jednak śmiertelnym ciosem nokautuje przeciwnika, ucieka z miejsca walki i spotyka się w umówionym hoteliku ze swoją dziewczyną. Miała ona zabrać z ich mieszkania, widzianego ostatni raz, wszystkie cenne dla nich rzeczy. Obecnie w mieszkaniu tym zapewne czekają już na Butcha ludzie od mokrej roboty. Przetrzęsając coraz nerwowiej walizki, Butch pyta: zabrałaś zegarek?

No więc ja też jestem posiadaczem takiego zegarka jak The Golden Watch. Nie jest złoty; jest stalowy i ma stalową bransoletę. Dostałem go od swego bezpośredniego męskiego przodka, gdy opuszczał ojczyznę, kierując się przez ocean na niepewną emigrację, która miała poprawić zawsze nie dość dobrą formę mojej zawodowej kariery. Gubiłem zegarki przez całe życie, w kilka miesięcy od ich kupienia. Ale ten – prawdziwy Golden Watch – posiadam już prawie dwie dekady. Po powrocie do Polski, i złapaniu paleobakyla, noszę ten zegarek wszędzie. Zawsze zapominam go zdjąć, gdy grzebię w kamiennych hałdach – dlatego szkiełko wymieniałem już czterokrotnie. Pokrętko regulacji godzin i dat – złamałem i wymieniałem już dwukrotnie. W końcu, i to zupełnie niedawno, odpryski pękniętego szkiełka wdostały się w mechanizm, zatrzymując chód, więc oddałem swój skarb do naprawy. Wieczorem zawsze kładę swojego „golden łocza” na nocnym stoliku, jako że jest to jedyny czasomierz w moim mieszkaniu. Rano siadam na krawędzi łóżka, zawsze w tym samym miejscu, wstając, zawsze tak samo sięgam po zegarek, sprawdzam czas i zakładam go na rękę.

Dręczy mnie teraz myśl: *jak i dlaczego tak się stało?* W pocie czoła i z załzawionymi oczami wydobyty trylobit odbył przecież nawet pewną ryzykowną podróż do znajomego, który mieszkał w centrum miasta. Kamień z trylobitem w miękkim zabezpieczającym futerale obijał się o tramwajowe poręcze, a jednak nic mu się nie stało. Dwa razy jechał też daleko samochodem, w bagażniku pełnym twardych i kanciastych gratów, narażony na wszelkie bezwładnościowe przemieszczenia. A jednak nic a nic mu się nie stało.

Pewnego poranka postanowiłem zrobić mu parę zdjęć, lecz chmury skąpiły słonecznego światła, więc długie czasy ekspozycji rozmazywały obraz. Usiadłem zrezygnowany na krawędzi tapczanu, w tym samym miejscu co zwykle, wgapiając się w trzymany w rękach ciężki kamień i zastanawiając się, czy nie zrobić tej fotosesji w sztucznym świetle lampy mikroskopowej. Pomyślałem – przełożmy to fotografowanie na później, a myśląc tak, miałem już odłożyć swój okaz na stolik, który niestety – jak zwykle – był pełny, to znaczy zawalony różnymi rupieciami. Położyłem więc kamień przy łóżku na podłodze, pomiędzy stolikiem a sobą.

Nie mogąc fotografować skamielin – postanowiłem ich szukać i przez dwa dni ryłem jak szczur w jakichś autostradowych kopcach, rowach i nasypach. Wróciłem wieczorem, ślaniając się z nóg. Ze zmęczenia ledwo zdołałem zrzucić z siebie zapiaszczone ciuchy, lecz

zegarek, dopiero co odebrany z warsztatu, troskliwie odłożyłem na nocny stolik.

Obudziwszy się następnego ranka usiadłem na łóżku jak zawsze i w tym samym miejscu co zawsze. Czułem się dość anemicznie – jedna noc snu nie wystarczyła by odzyskać siły po dwóch dniach paleoplądrowania. Wstając, przechyliłem się w stronę stolika i niemrawo sięgnąłem po swój Święty Golden Watch. Siegnąłem jak zawsze, będąc w tym samym miejscu co zawsze. Podnosiłem go już do oczu, by sprawdzić która godzina, kiedy wymusnęła mi się niestety z ręki, rozpędził jak pocisk i rąbnął prosto w twarz wiadomego trylobita. Nie w duży kamień, w którym tkwił trylobit, nie w podłogę obok trylobita, lecz prosto i precyzyjnie – zarówno ciężka koperta jak i bransoleta – prosto w policzek tego tryla. Skorupę pancerza – dosłownie połowę powierzchni policzka, oraz kawałek oka, a jakże – dosłownie rozerwało w strzępy, które z impetem wystrzeliły na całe metry dookoła kamienia. Nawet nie zakląłem – po prostu mnie zatkało.

Patrzyłem na skutki bombardowania, a chyba jeszcze nie dowierzałem. Ten trylobit ma cefalon o powierzchni powiedzmy dziesięciu centymetrów kwadratowych. Pokój ma powierzchnię dwudziestu kwadratowych metrów, czyli dwustu tysięcy kwadratowych centymetrów. To daje szansę trafienia 1 na 20 tysięcy. Przy przypadkowym bombardowaniu podłogi, ale nie w pobliżu lotniska, na którym regularnie lądował mój Golden Watch.

Poszukiwania odstrzelonych fragmentów zakroiłem na szeroką skalę. Podzieliłem podłogę na kwadratowe metry, metry na decymetry. Odłup składał się z kilku dużych kawałków oraz sporej liczby drobniejszych. Codziennie poświęcałem godzinę na obłędne poszukiwania, dzień po dniu, przez kilka dni. Niestety znalazło się tylko 80 procent odstrzelonej powierzchni. Znalezione skrawki przyklejałem w stanie psychicznej rezygnacji i złości, a więc bez należytej pieczołowitości. Mimo wszystko baczyłem jednak, żeby kawałki z przewieszonymi krawędziami przyklejać na końcu, bo w przeciwnym wypadku ich sąsiedzi nie dadzą się wpasować, nie „usiądą” na miejsce. Normalnie jest to sensowne podejście, tutaj jednak był to błąd, bo ostatnim według tej reguły fragmentem był kawałek oka, który za żadne skarby nie chciał się dać wpasować w wyrwę u podstawy oka. Małe błędy przyklejenia poprzednich fragmentów skumulowały się – i ten ostatni, czyli fragment oka, za nic w świecie nie pasował już na swoje miejsce. Mądrzej byłoby łątanie zaczynać od oka – estetycznego centrum Wszechświata. Co gorsza, po przyklejeniu czego się tylko dało, na policzku została 20-procentowa, ziejąca urwistymi krawędziami dziura. Przeszczepiłem na nią kawałek pancerza z miejsca, w którym wcześniej uszkodziłem policzek podczas kucia. Trochę pomogło, ale nie jest to już ten co kiedyś *Paraceraurus*. Raczej – wyszedł mi zupełnie nowy, nieznany nauce gatunek: *Paraceraurus goldenwatchii*.

Koronowo, 10.01.2016

27.01.2016

25.04.2016

Toruń 18.06.2018